





OD RARAŃCZY —
DO KANIOWA.





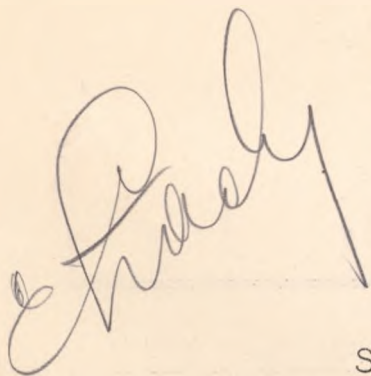
MARJAN KANTOR - MIRSKI.

Nr. Ks. 137.5
Biblioteka prywatna
JERZY ŁADA, Oikusz

OD RARAŃCZY DO KANJIOWA

Wspomnienia legionowe z r. 1918.

Z ilustracjami i podobizną autora.



SOSNOWIEC

1 9 3 4.



CM 314422

NAKŁADEM

Drukarni i Introligatorni „P R A C A” Sosnowiec, ul. Kottłarza 10.

Kłisze wykonała „Grafochemja” właśc. A. Szynkowski, Sosnowiec

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. ~~B~~1 nr 138 /2011/ CM

J. W. Panu Generałowi Brygady
Dr. Romanowi Góreckiemu,

który w pamiętny dzień 13-go lutego
1918 r. swoim żołnierskiem wystą-
pieniem uratował honor legionisty
II. Żelaznej Brygady Karpackiej,
wspomnienia moje poświęcam.

I.

W przeddzień zbrojnego czynu
pod Rarańczą.





My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

(K. Ujejski).



to bolesne słowa, pełne smutku i rozpacz, wyrwające się z duszy szarego żołnierza w owe pamiętne dni pierwszej połowy lutego 1918 r., a zarazem znamienna charakterystyka nastrojów psychicznych nurtujących w umysłach legionistów II. Żelaznej Brygady Karpackiej.

W tym czasie II. Brygada Legionów Polskich miała już poza sobą wspaniałą kartę dziejową, pisaną krwią na pobojuwiskach karpackich i bukowińskich, na polach bitew Bessarabji, w kurzawicy wojennej Polesia, w huraganach ognia działowego Wołynia, — poza sobą miała zwodniczy i kłamany Akt 5 listopada 1916 r., ów marzony w szaleńczym zapale świt wolności, tryumfalny wjazd do Warszawy, jako kadry przyszłej armii narodowej, wreszcie okres rozczarowań, dramat przysięgowy 9 czerwca 1917 r., po którym przyszło germańskie i barbarzyńskie „ausrotten“ z konsekwencjami wymarszu z terenu Warszawy i Kongresówki — wymarszu do fortów Przemyśla jakoby zbrodniarzy w otoczeniu pruskiej konnicy i bawarskich batalionów szturmowych, przy równoczesnem akompaniamencie spazmatycznych szlochów i płaczu wielotysięcznej rzeszy ludności Warszawy, która złorzecząc pruskiej przewrotności, serdecznymi łzami żegnała na dworcu kaliskim resztki tych, co mieli być zrębem polskiej siły zbrojnej.

A przed sobą?...

Miał żołnierz II. Brygady straszliwą pustkę, po-
grzebane nadzieje, niebezpieczeństwo utraty wiary w własne siły, zatracenie tężyzny duchowej i idei, w imię której

z konieczności dziejowej poszedł w wichry walk orężnych ramię w ramię z tymi, co mu niegdyś rozszarpali na strzępy i wymazali z karty Europy własną Ojczyznę, zamieniając go w niewolnika.

W owe straszne dni byliśmy tragicznie opuszczeni.

Komendant w kazamatach Magdeburga, — legioniści z I. Brygady dogorywali w pruskich obozach internowanych Szczypiorna i Benjaminowa, lub wtłoczeni przemocą w c. i k. austriackie mundury, ginęli z rozpaczliwym protestem przeciwko niemieckiemu gwałtowi na pobojuwiskach włoskich za habsburski „Vaterland“.

Nad tem strasliwem tragizmem górowało: nie-dołączna, bezwolna o papierowej władzy Rada Regencyjna w Warszawie, prowadzona ciężką teutońską łapą von Besselera, — „allerhöchste“ służalstwo wylampasowanych i wypióropuszonych hofratów austriackich narodowości polskiej i o nazwiskach polskich, którzy wstydliwie i bojaźliwie przysłuchiwali się dźwiękom „Mazurka Dąbrowskiego“, ale na „hab acht“ z płomieniem patriotyzmu austriackiego w oczach stawali na odgłos t. zw. hymnu narodów „Gott erhalte, Gott beschütze“, którzy najpodlej radzili „im gnades Wege“ ogłosić II Brygadę Leg. Pol. za składową część armji austro-węgierskiej, podszeptując naczelnemu dowództwu rozbrojenie tejże, zamienienie polskich orzełków na maciejówkach na c. i k. „schwarzgelbe bączki“ i wcielenie w szeregi pułków „Jego cesarsko-królewskiej apostolskiej mości, cesarza Karola.

W tych tragicznych dniach przeoraliśmy aż do najgłębszych warstw nasze dusze, bo zrobiliśmy szczególne odkrycie. Stwierdziliśmy, że mamy znakomitych dowódców, lecz brak nam wodza, któryby z naszego zbrojnego czynu, umiał wykuwać korzyści polityczne, — wódza któryby był wcieleniem idei niepodległościowej. Stwierdziliśmy, że dotychczas nie rozumieliśmy naszych kolegów z I Brygady Piłsudskiego, idących za kraty więzień i kolczaste druty obozów internowany, że nierozumieliśmy Komendanta, idącego w kazamaty Magdeburga jako więzień. Stwierdziliśmy, że dotychczasowe nasze miano dobrego żołnierza, dzierżącego krzepko i uparcie karabin w garści, to absurd, — stwierdziliśmy, że w na-

szem położeniu i przy tej wielkiej cnocie żołnierskiej, brak nam było mądrości politycznej, któraby nasze trudy i znoje wyzyskiwała w kierunku uwolnienia polskiej racji stanu z pod obcych wpływów.

I to była nasza tragedia, — tragedia II Karpackiej Brygady.

I oto w tych dniach pierwszej połowy lutego 1918 r. dokonał się w naszych duszach przewrót pojęć, zapoczątkowany na fortach Przemyśla, — który wykreślił z naszego słownika w stosunku do I Brygady narzucone nam przez służalcze i pozbawione ambicji narodowej sfery słowa: „my i wy“, — który nas połączył symbolicznie z I Brygadą w jedno ciało legionowe, — przewrót, którego miano były nienawiść i bunt przeciwko okupantom, — przewrót, który był dalszym ciągiem pierwszego legionowego czynu, dokonanego przez I Brygadę w dniu 9 czerwca 1917 r.

W takim nastawieniu powróciły ponure i zajadłe w swem cierpieniu szeregi II Brygady w pierwszych dniach listopada 1917 r. na front bessarabski.

Już wówczas zrodziła się w naszych szeregach myśl, porzucenia Austrii. Myśl ta przeobraziła się w czyn.

Pamiętam jak dziś. Brygada objęła w nocy z 24-go na 25-go listopada znane nam dobrze z roku 1915 pozycje pod Rarańczą, w którym w dniach czerwcowych legł pokotem szwadron ułanów Dunin-Wąsowicza, gdzie w strasliwym zmaganiu się z wrogiem ś. p. porucznik Szul z braku amunicji kolbami i pięściami rozgrywał atakujących moskali, gdzie porucznik Gosiewski usadowiwszy się z baterją swych ekwadorek w okopach, przez kilka godzin ich ogniem wstrzymywał potężny napór dwóch dywizji piechoty rosyjskiej, gdzie chorąży Piwko wystrzelawszy wszystkie taśmy, trójnogiem karabinu maszynowego rozbił łby moskiewskie, gdzie wielu oficerów uchwyciwszy sekate laski, machając niemi jak cepem, parli zajadłe naprzód wroga, przetrącając mu kości.

Po zajęciu pozycji w któryś wieczór, kilkunastu legionistów z 3. p. p. postanowiło wybadć sytuację po stronie rosyjskiej. Jak się to stało, pozostanie na zawsze tajemnicą, lecz dość na tem, że około godziny 20-ej

wyrwała się garstka legunów z okopów i niefrasobliwie sypnęła się w stronę pozycji rosyjskich.

Rozjęczały się telefony austriackie w panicznym strachu. Wszędzie słychać: „hochverröter, zdrajcy, — legioniści przechodzą do wroga“. Całą noc piekłą się telefony, dowództwo austriackie pieni się i wścieka, tylko na odcinku Brygady niezmacona cisza. Nad ranem powróciła „wycieczka“ do okopów, odprowadzona przez dziewczuszki ukraińskie i żołnierzy rosyjskich.

Po tej eskapadzie iście leguńskiej poszły szeptu po okopach i ziemiankach: „zrobili wywiad, przejść można, mochy strzelać nie będą, — nasi tańczyli na weselu w Rokitnie“.

Za parę dni wycofano II Brygadę z okopów już jako niepewną i przerzucono ją 30 kl. za front do rezerwy w okolice Alt i Neu Mamajesti.

Nastaly dni ciężkiej pracy żołnierskiej, ale zarazem dni smutku, rozpacz i nieopisanych cierpień.

W tym czasie dochodzą nas wiadomości o formowaniu się wojska polskiego na wschodzie, o korpusie Muśnickiego i w żołnierzu II Brygady rośnie chęć do zerwania nienawistnych pęt, łączących go z Austrią, — rośnie chęć do samodzielnego bytu, — do połączenia się z Muśnickim, — rośnie bunt przeciwko dalszemu trwaniu przy okupantach, — rośnie bunt żołnierski mający na celu z bronią w ręku choćby po trupach austro-niemieckich przejść front i szukać wolności na obczyźnie.

W takich nastrojach nadszedł dzień 11-go lutego 1918 r. — dzień ogłoszenia czwartego rozbioru Polski — dzień haniebnego Traktatu Brzeskiego.

Ziemia się pod nogami zachwiała, — rozdarły się chmury na niebie, Polska skołatana wojną, ogniem i głodem, — Polska drutem kolczastym obozów internowanych zjeżona, — Polska krwawa własnych legionów ofiarą została w Brześciu piekielną ręką hr. Czernina z woli Austrii rzucona pod topór hajdamacki.

Trudno opisać co działo się w duszy żołnierza II Brygady gdy doszła go wieść o haniebnym traktacie.

Wszystkie serca były straszliwe larum, a tętniąc rozpaczliwie wołały :

Czas skończyć za wszelką cenę, choćby z gołym bagnietem, trzeba rzucić się nawet na miljonową armję przeniewierczej Austrii, — wypruć jej wnętrzności, — wytoczyć wszystką krew. Trzeba iść nie zwlekając, szukać wolności gdzieindziej. Oto zapłata za nasze wytrwanie po czterech latach wojny. Trzeba iść w świat, szukać lepszej doli, — trzeba wejść na drogę krwawego czynu, innego wyjścia nie mamy, — sztandar nie opuścimy, — rozbroić się nie damy.

W dniu 13 lutego rozgrywa się pierwszy akt czynu Rarańczy.

W kościółku w Alt-Mamajesti odbywa się nabożeństwo żałobne za ś. p. majora Mężyńskiego, któremu pękło serce z bólu na wieść o Traktacie Brzeskim. W pośrodku kościółka a raczej cerkiewki stoi na katafalku trumna na znak pogrzebanych nadziei, — na niej kolekcja wszystkich możliwych odznaczeń i orderów austriackich i pruskich, któremi obdarzano legionistów. W kościółku sztab legionowy, generalicja okupantów. moc oficerów, oba pułki II Brygady, liczne delegacje innych oddziałów legionowych. Na twarzach starych żołnierzy i oficerów Brygady rozpacz nieopisana, ale nie ta beznadziejna, lecz ta która rzuca do walki z wrogiem, choćby miała być ostatnia. Na marsowych i spalonych wichrami licach, błyszczą tu i ówdzie łyzy żołnierskie, w duszach szaleje ból, lecz ten co rodzi szaleńcze czyny.

Odzywają się łkającym głosem słowa kapelana księdza Panasia :

„Bracia! stoimy u trumny kochanego i serdecznego kolegi, który razem z nami przeżył tyle trudu i znoju, głodu i zimna, przeżył mroźne Karpaty, stępy bessarabskie, błota wołyńskie, przeżył razem z nami wszystkie smutne i radosne chwile rozpacz i złudzeń, które zdawały się błyskać światłem nadziei, a były tylko. zwodniczą ułudą. A oto pękło jego ser-

ce pod wpływem gromów, walących w naszą Ojczyznę. Pan Bóg oszczędził mu chwil rozpacz, które my przeżywamy. Ale nie czas myśleć o naszych czy cudzych zasługach, bo dzisiaj one nic nie znaczą, nie czas roztkliwiać się nad grobem choćby najdroższego kolegi, ale oto Bracia podnieśmy serca nasze do Boga i wszyscy razem przy tej trumnie złożmy świętą przysięgę bezwzględnie wiernej służby dla naszej polskiej Ojczyzny i niechaj dziś ze wszystkich piersi rozbrzmi ona pieśnią przysięgi, która jest na ustach całego polskiego narodu“.

W tym momencie rozpacz dochodzi do zenitu. Oficerowie Brygady łamią szable, wyciągnięte szeregi żołnierskie gną się i pękają, lecą z rąk karabiny, odzyna się jeden jęk i szloch, padają na ziemię zrywane z piersi ordery i medale, depcą je nogi legionisty, a potem... runęły pod stropy niebios słowa „Roty“:

Nie damy ziemi skąd nasz ród
. . . tak nam dopomóż Bóg.

Kości zostały rzucone!

Rozpoczął się drugi akt czynu Rarańczy.

Rozpoczął się odprawą u generała Zielińskiego, dowódcy Polskiego Korpusu Posiłkowego, w skład którego wchodziła II Brygada, dowódcy o złotej i szczerzej polskiej duszy, ukochanego do szaleństwa przez wszystkich żołnierzy, lecz oznaczającego się nieubłagalną karnością legalizmem. Na tem zebraniu kapitan Górecki stawia sprawę na ostrzu miecza i mówi:

— Trzeba opuścić Austrię z bronią w rękę, czekać dłużej nie można, bo dowódcy poszczególnych oddziałów nie mogą już ręczyć za karność żołnierzy. Do zdania kapitana Góreckiego przyłączają się podpułkownik Żymierski, dowódca 2 p. p. i major Zająć, dowódca 3 p. p. Sprzeciwia się tylko major Zagórski Włodzimierz,

herbu Ostoja, dowódca artylerji legjonowej, przydzielony z c. i k. armji kapitan sztabu generalnego, oświadczając, że on trzyma w swych łapach mocno swój pułk i odpowiada oraz gwarantuje za karność swych żołnierzy. Naturalnie, że nie zdziwiło nikogo to powiedzonko znamienne, bo i tak nie powierzano mu i dnia poprzedniego zdecydowano odebrać mu dowództwo artylerji, a oddać legioniście porucznikowi Wierchlejskiemu.

Narady u generała Zielińskiego nie dały pozytywnych wyników. Oficerowie opuścili kwaterę. Każdy zdążył na swój posterunek. Po drodze przyłapują ich szare żołnierzyki, całują po rękach, obejmują za nogi, ze łzami w oczach proszą i błagają:

— Nie dajcie jeść, nie dajcie pić, nie dajcie żołdu, ale prowadźcie nas jaknajprędzej do wolności, do Polski, — raczej zginiemy do ostatniego w boju, ale rozbroić nas nie dajcie. Za tyle mogił, za tyle krwi, za tyle ran, za taką moc trudu i znoju naszego! Patrzcie! już ten i ów chwyta za broń by życie sobie odebrać.

Pod wpływem tego straszliwego tragizmu duszy żołnierskiej, zbierają się w dniu 14 lutego oficerowie Brygady na naradę. Jest brygadjer Haller, są dowódcy pułków 2 i 3. Żymierski, Zając, jest kapitan Górecki i ks. Panaś, są inni oficerowie jak Zabdyr, Boruta-Spiechowicz, Łużecki, Jakubowski, Huber Wierchlejski, i inni.

W czasie narad padają cztery koncepcje skończenia z Austrią:

- 1) przejście zbrojne na teren rosyjski
- 2) przejście zbrojne na teren Rumunji
- 3) przerzucenie się na drogę pracy w P.O.W.
- 4) zwrócenie się na teren Galicji w stronę Lwowa, celem wzniecenia powstania zbrojnego.

Pierwszą koncepcję wysunął kapitan Górecki, a poparł ją w płomiennych słowach podporucznik Boruta-Spiechowicz, Brygadjer Haller nie wypowiedział się za żadną koncepcją i przed końcem narad opuścił zebranie,

udając się na odprawę dowódców do komendy c. i k. korpusu.

Po długich debatach zwyciężył kapitan Górecki i ustalono, że dnia 15 lutego Brygada odchodzi na obczyznę wyrębywać sobie drzwi do wolnej Polski. Tylko jeden z oficerów, snąc spadkobierca nieszczęsnego „Liberum veto“, zaprotestował przeciwko opuszczeniu Austrii. Był nim chorąży Hartleb z dowództwa II-ej Brygady.

Przy końcu zebrania zjawił się brygadjer Haller i oświadczył, że jedzie do generała Zielińskiego, aby podpisał dwie odezwy, które zredagował. Jedną do narodu polskiego, drugą do cesarza Karola. Powstało oburzenie między oficerami, a któryś z nich krzyknął:

— Dość tych odezw i protestów papierowych, co powiedzą na to koledzy z I Brygady. Już postanowione. Jutro idziemy.

Wówczas brygadjer Haller wysunął jeszcze jedną koncepcję. Opiewała ona następująco:

Ponieważ Brygada ma ruszyć na Ukrainę dla jej okupacji z wojskami austriackimi, więc kwestję opuszczenia Austrii załatwi się w drodze, a nie 30 klm. za frontem.

Czy tak miało być, niewiadomo, — bo przecież wiedzieliśmy, że generał Zieliński otrzymał rozkaz przygotowania Brygady do odmarszu na front rumuński.

Koncepcję tę odrzucono i przyjęto projekt kapitana Góreckiego, na który ostatecznie zgodził się i brygadjer Haller.

Chociaż treść narad miała pozostać do ostatniej chwili tajemnicą, to jednak przedostała się natychmiast do wiadomości żołnierzy.

Radość opętańcza ogarnęła szarego legionistę II Brygady, ale wiedząc, że każdy jego krok jest śledzony, ukrył tę radość na dnie duszy i zaczął się przygotowywać do odmarszu i boju, który nazwano nocnymi ćwiczeniami.

Tak więc dzięki żelaznej postawie kapitana Góreckiego, został uratowany honor żołnierza II Karpackiej Brygady Legjonów Polskich i nastąpiło ideowe jego zespolenie z żołnierzem I Brygady.

W dniu opuszczenia terenu austriackiego, brygadjer Haller ogłosił następującą odezwę :

Do Narodu Polskiego!

Cios który uderzył w ledwie powstające Państwo Polskie odczuwamy głęboko wraz z całym Narodem. Broniliśmy granic wschodnich zmartwychwstałej Ojczyzny, pozostały nad Styrem gęsto usiane mogiły naszych Towarzyszków broni, jako kopce graniczne, które znaczyć mają wschodnią ścianę Polski. Do obrony tych granic pozwać chcieliśmy cały Naród. I zradośnem biciem serca, wkroczyliśmy do Warszawy, by armję budować do walki o święte nasze, dziś zdeptane prawa.

Inaczej zrzędziły losy. Na tułaczce wyczekując wezwania do podjęcia na nowo raz już rozpoczętej pracy, wyczekując rozkazów od naszej Państwowej władzy, doczekaliśmy się gromu co padł z ręki chcących panować u nas — bez nas! Prawa zdobywają silni, a siły nam z Narodu dotąd wykrzesać się nie dało. Serca ból ścisnął, rozwiął tak bliskie zdawało się nadzieje. Lecz rozpacz nie zna żołnierz co tylekroć patrzył śmierci w oczy, co tyle doznawał zawodów, — ciężka dola nas hartowała i dziś w chwili klęski nie uchyliłiśmy czoła przed moźną przemocą. Tem wyżej wznosimy nasz Sztandar walki w myśl hasła Kościuszkowskiego o wolną i niepodległą, całą Ojczyznę naszą! Tem karniej przy niej stajemy, — w chwili ciężkiej, która cały naród w jedno skupiła ciałą. Slubujemy, że Sztandaru walki nie opuścimy, że broni nie złożymy, aż Naród krzywdą haniebną zjednoczony — z uśpienia zbudzony własnymi swemi siłami — własnymi dłońmi — dźwignie gmach swego narodowego Państwa w takich granicach, które mu żyć i rozwijać się pozwolą. Żołnierski obowiązek kazał nam iść tam, gdzie powstaje polska siła zbrojna, — skoro w kraju dla nas możność budowania armji polskiej ustała.

Rozmieszczone na Bukowinie oddziały legionów polskich z dowództwem korpusu na czele przeszły granicę, by dążyć do połączenia z polskimi oddziałami wojskowymi po tamtej stronie frontu.

Kwatera Sztabu, dnia 15. II. 1918 r.

— — — — —

Zbliżał się w błyskawicznym tempie ostatni akt czynu Rarańczy, który zerwał ostatnie węzły, łączące nas z przენiewierczą i zdradliwą Austrią.

—————

II.

Bitwa pod Rarańczą.



Lecz chociaż serca płomień żre tęsknoty
Co krok wróg czyha, lub przyziemna zdrada
Z bagnietem w rękę, spełni przysięgę rotę
Druga brygada!

(J. Engicht 3. p. p.)



Niezapomniany dzień 15 lutego 1918 r.

O świcie poszły rozkazy po pułkach i oddziałach, oraz meldunek do „Gruppenkommando von Kossak” o mających się odbyć „nocnych ćwiczeniach”.

Rozjaśniły się twarze legunów, — rzucili się do czyszczenia broni, ostrzenia bagnietów, gromadzenia po „brocakach” i kieszeniach amunicji, pogwizdywali i pospiewywali z radości.

Gdzieniektóry reluton mruczał pod nosem:

Cholera!... he! Bujać to my!... He! he!... psia krew!... ćwiczenia nocne...! Taka... wasza mać!... He! he!... starego wróbla na plewy brać!... Damy austryjcom bobu!..

Inny znów gdzieś tam siedząc na klepisku, marmotał z lwowska:

Ta joj!... szlak cię potrafił!... Fajne ćwiczenia nocne... Ta joj!... aż ich nagła krew zalije... Ot co!..

Tak! Brygada miała iść na ćwiczenia nocne, rozbić nieprzyjaciela na wyznaczonym odcinku, a potem ścigać go w kierunku wschodnim, na Rarańczę i Rokitną..

I zapewne wszystkie austriackie c. i k. Schillingi, Kossaki, Baleany, Podskoczile, Duskoczile, Nawrutile i t.p. Wichlastale i Postolki byliby uwierzyli w owe „ćwiczenia”, gdyby nie długie jęzory babskie, co nastrojone przez żandarmów austriackich, podstępnie wyłudziły prawdę od zakwaterowanych u nich legjonistów, roztrąbiły ją jeryhońskimi buziami tak, że już rano 15 lutego znali ją żandarmi i zaalarmowali Czerniowce i Kołomyję.

Około godz. 16. już żandarmerja austriacka donosi do Czerniowiec, że w Łużanach i Mamajesti podejrzany ruch panuje u Legionistów. Przed godz. 18. posterunek żandarmerji w Mamajesti melduje do „Gruppenkommando“, że już legionery gotowe do marszu. Wiadomości te generał Kossak melduje 7 armji w Kołomyji. Później rozjęczały się telefony ze sztabu 36 dywizji, potem 2. dywizji kawalerji oraz od wszystkich możliwych i niemożliwych c. i k. obwiesiów.

Na podstawie tych wiadomości „Gruppenkommando von Kossak“ koncentruje błyskawicznie dwie dywizje piechoty i dwie dywizje kawalerji, rzucając je przeciw Brygadzie.

Cóż działo się u nas na parę godzin przed odmarszem na ćwiczenia?...

Kapitan Górecki „robił“ fasunek w c. i k. magazynach w Kołomyji. Sprytnie „zafasował“ w austriackiej kasie 7 armji milion koron i walił zpowrotem do Łużan, boć przecie na takie cholerskie „ćwiczenia“ leguny potrzebowały dużo butów i dużo pieniędzy, — niezapomniał nawet o piekarniach polowych, bo kalkulował sobie, że legun żreć potrzebuje, a w czasie „ćwiczeń“ nie pójdzie na „bejty“ czyli żebry, — latał jak opętany, — kręcił się jak w ukropie, — myślał sobie, że takie fajnie „maniebry“ to niebylejaki „śpacirgang“. Zrobił wszystko jak się patrzy, a potem... ślipiska mu zaszły mgłą, jakby jakiemu mikrusowi — bomberakowi, i poszedł z plutonem kompanji alarmowej 2 p. p. pełniacej pod dowództwem por. Marka służbę inspekcyjną, otoczył sztab... umiłowanemu przez wszystkich dziadkowi Zielińskiemu zameldował, że wszystko jest gotowe — i... odebrał mu szablę generalską, oświadczając, żeby się uważał za więźnia. Razem z nim przyaresztował majora Rogalskiego, majora Ganczarskiego, kapitana Pomażańskiego, weterynarza Postolkę i poczmistrza „Feldpost“ № 386 Biera.

Nie sposób opisać tego, co się w tej chwili z ukochanym naszym dziadzią generałem działo. Krok jednak Góreckiego był koniecznością, potrzebną Brygadzie i generałowi Zielińskiemu, nad którym objął straż rotmistrz żandarmerji Okołowicz.

O godz. 18. wyruszył 2 p. p. z Żymierskim, za nim poszedł 3 p. p. z Zającem. Po odmarszu pułków, kompanie techniczne, przystąpiły do przecinania drutów telefonicznych i telegraficznych, obalania słupów i zerwania pod Mamajesti toru kolejowego Kołomyja-Czerniowce. W Alt-Mamajesti „operacje” te przeprowadzał z fachowością chorąży Bochnia.

Zbiórka całej Brygady była wyznaczona na szosie Żuczka-Rarańcza, Mahala-Czerniowce.

Noc ciemna i mroźna.

Po drodze polnej, suną kompanie za kompanjami pospiesznie, w ciszy, skupieniu. Po bocznych drogach zdążają tabory ciężkie i lekkie.

W pewnym momencie zastępuje drogę taborom patrol austriacki jadący autami pod komendą kapt. Baleanu. Patrol leguny aresztują, a ferfluchtujący „hauptman” dostaje przez pysk szpicrutą i oddany zostaje jako jeniec pod opiekę chorążego Charzeskiego.

Przed Sadagórą płynie poszept po kolumnach i szeregach :

— Byle minąć Sadagórę, bo tam cholerska dywizja austriacka, — byle nie zatrzymali i zawczasie do charataniny nie przyszło, — bodaj tylko nie spóźnił się z artylerją Zagórski, — mógłby już nadejść Helman z saperami...

A potem... znów cisza, przerywana tylko tupotem miarowym nóg.

I oto żołnierz nagle mocniej ścisnął karabin, sprawdził zawartość ładownic i dech jakby zatrzymał. Szczęknęły tu i ówdzie zamki repetowanych brauningów i fromerów, gotując się do strzału... a potem znów cisza.

Kolumny zaczęły wchodzić do Sadagóry.

Z zapartym oddechem mijano szeregi szarych domostw miasteczka, mijano bacznie i czujnie w gotowości do odparcia nagłego ataku.

Mijają chwile długie jak wieczność... i oto ostatnie osiedla ludzkie. Brygada znalazła się w polu za Sadagórą.

Ciężar niezmierny spadł z serca, lżej się zrobiło na duszy.

Za Alt-Żuczka, Brygada skrzyła na Rarańczę.

Na przedzie w straży przedniej idzie porucznik Boruta-Śpiechowicz z 11 kompanją — za nim reszta III Baonu 2 p. p. z majorem Orlik-Łukowskim. Za Brygadą na ostatku brygadjer Haller, major Gniady-Trzeciński, porucznik Rudka i porucznik Łużecki.

Godzina 22. — noc ciemna

Zarządzono postój na szosie pod górą w Mahali. Czekano na Zagórskiego z artylerją i Helmana z saperami.

Mija czas umówiony spotkania... a oni nie nadchodzą. Trzeba walić naprzód, bo czas ucieka.

Padają ciche rozkazy.

Wali naprzód Śpiechowicz, przyłącza się do niego Orlik.

Gdzieś z tyłu w dole zawarczał motor auta, rozbiły jego ślepie. Pada pytanie.

Wer da? — kto idzie?

Odpowiedzi nie było.

Auto wjeżdża w milczącą kolumnę legionistów.

Znów pytanie:

— Wer da?...

Milcząca kolumna rozstępuje się i aresztuje pytających, którymi byli wyżsi oficerowie austriacy, z generałem Schillingiem, osławionym „opiekunem legionistów” na czele.

Gdzieś z prawej strony w oddali dudni po szynach coś ciężkiego. To pociąg pancerny. Granaty ręczne rzucone ręką por. Marka, wstrzymują „żelaznego drania”, który z przestachu cofa się gwałtownie.

Za chwilę nabrał odwagi i atakuje, — ziejąc ogniem, rozbija w puch nasze tabory.

Tymczasem na przedzie przed szpicą coś zamaczyło i rozległo się:

— Halt! austriackie.

Czołowa kompanja skonsternowana, cofa się parę kroków w tył i spostrzega tyraljerę austriacką a obok karabiny maszynowe. Kompanja rozpryskuje się na boki, zajmując rowy po obu stronach drogi. W lukę włązi następna kompanja w kolumnie.

Ktoś krzyczy raz i drugi:

— Halt!...

W odpowiedzi na to Boruta-Spiechowicz grzeje z brauninga i kładzie trupem austriackiego oficera. Spieszy mu z pomocą Orlik-Lukowski, wygarnął z pistoletu w sam pysk drugiemu oficerowi austriackiemu, trzeciego chlasnął ppor. Mierzejewski.

W tej chwili nadbiega porucznik Staich i zaczyna koncert z karabinów maszynowych.

W odpowiedzi rozszczękały się po obu stronach drogi austriackie maszynki, bijąc jak w bęben w zwarte kolumny. Trup sypie się gęsto.

Obok mnie wali się jakiś legun z nóg. Przewracając się, zbija mnie z pedatów. Nakrywszy się nogami z impetem, potracam innych i razem z nimi sypię się w koziółkach w głęboki wąwóz.

Powstało nieopisane zamieszanie, które na szczęście trwało krótko. Oficer i żołnierz legionowy pod wpływem strzałów, odzyskał panowanie nad sobą.

Pamiętam doskonale jak kapitan Zabdyr z flegmą jakby to było na placu ćwiczeń, swoim nosowym głosem krzyknął:

— Kompanja dziewiąta, tyralierą na prawo marsz.

Za jego przykładem posypały się komendy i kompanje poszły tyralierą na prawo i lewo. Zaczęły jazgotać nasze karabiny i maszynki o tak zajadle, że rozbijają dwa bataljony 53 pułku austriackiego. Trzeci bataljon nadbiegający od strony Rarańczy spotkał jeszcze gorszy los, — został poszatowany ogniem karabinów maszynowych III bataljonu 2 p. p.

Droga do Rarańczy została oczyszczona od nieprzyjaciela.

Obawiając się jeszcze napadu, Brygada rozlała się po polach i parła naprzód ku okopom.

Był to nie marsz, ale coś w rodzaju wyścigu bezładnego.

Dech zamierał w piersi.

Jak okiem sięgnąć, wokoło nic nie widać było, tylko oślepiające, potworne smugi światła reflektorów,— setki rakiet z sykiem leciało w przestworza, a pękając w powietrzu, swym światłem wyszukiwały zbuntowanej Brygady.

Od Rarańczy, gdzie na kraju wioski ułokowała się tyraljera austriacka, znów zaczynają taniec karabiny.

Przychodzi rozkaz:

— Mijać wieś z prawego.

Do oddziałów 2 p. p. przywala się szeroką linią major Zajac z 3 p. p. i razem prą ku okopom, wśród ustawicznej walki, wśród gradu kul, jazgotu maszynówek, wśród piekła wybuchów granatów ręcznych.

W huraganie ognia ktoś pyta:

Co w okopach?...

— Cholera wie! Będzie „mamałyga“, jak Bóg przykazał!... Pies ich drapał!... Takie... syny!...

— Odwalą kitę!..

A do okopów jeszcze kilometr,— jeszcze 500 m.

Do ostatniego oddziału stojącego między Mahalu a Rarańczą, przychodzi rozkaz:

— Stać na miejscu, czekać dyspozycji.

Straszna rzecz, — koło reflektorów i rakiet coraz więcej się zacieśnia. Na tyłach strzelanina gęsta — to samo z prawej i lewej strony. Austriacy zamykają pierścień.

Lecz trudno... rozkaz... trzeba stać i kwita.

I staliśmy w piekielnym ogniu do godz. 5-ej.

W pewnym momencie, gdy austriacy wprost zalewali kulami szosę, wpadamy do rowów przydrożnych,

w których leżało moc rannych Horwatów. Kule śwista-
ją i po rowach. Kładę się na ziemi i łeb chowam za
jakimś trupem.

W tem ten niby trup porusza się, widzę jak
szeroko rozwiera oczy i mówi:

— Nem muska... nie moskale!

Chociaż nie było to miejsce na konwersację, ba-
dam po niemiecku rannego i dowiaduję się, że dowódcy
austriacy objaśniali swoich Horwatów, że wychodzą w
pole, aby powstrzymać i zatrzymać większe oddziały
jeńców rosyjskich, które chcą przedrzeć się za kordon.

Biedak ciężko ranny, ostatnim wysiłkiem, kiepską
niemczyzną zakonkludował:

— Gdybyśmy wiedzieli, że to legionery, byłibys-
my nie strzelali.

Były to ostatnie słowa. Za chwilę skonał.

W tej chwili znów w stronie okopów padły gęste
strzały i wszystko ucichło.

Potem zajaśniały kolorowe rakiety.

Serce zatrzepotało się z radości, — bo był to
znak, że Brygada przechodziła właśnie okopy.

Radość była krótka. Znów zwałił się na nasz
oddział grad kul i ołowiu, przypominając, że stoimy jak
straceńcy jeszcze po stronie austriackiej.

Gorycz zalała nam dusze, że o nas zapomniano,
że kazano nam czekać, że pozostawiono na zatracenie,
boć była nas tylko garstka, może 50 chłopów, — a wkoło
nas chmury austriackie.

Gorzkie rozważania przerwał mi mój 14-letni
mikrus ordynans. Przyczołgał się do mnie i zaczął szep-
tać w ucho:

— Panie chorąży!... dymajmy w stronę okopów...
za naszymi... już godzina 5 rano... rozkaz nie przyjdzie..!
przecie nie damy się wziąć austriakom... szkoda gadać.

Z uwagami ordynansa podzieliłem się z porucz-
nikiem Bancerem. Uznaliśmy, że rzeczywiście czas dy-
mać za naszymi.

Skrzyknawszy chłopców, puściliśmy się w stronę Rarańczy. Od cerkwi zoczyliśmy na polną drogę, dążąc w stronę okopów. Po drodze przyłączali się do nas pogubieni legjoniści, drałując razem dość szeroką tyraljerę.

Była to „podróż” okropna. Co parę kroków musieliśmy padać na ziemię, wydrapywać sobie osłony w ziemi przed wściekłymi ślepiami reflektorów. Przemykając się z trudnością między oddziałkami austrijców, dotarliśmy wreszcie do sterych „unterstandów” artylerji z r. 1915. Tu zastaliśmy rozprószone w czasie bitwy oddziały: szturmowe porucznika Józwy, municyjne karabinów maszynowych, co głowiły się nad przeprowadzeniem koni przez rowy strzeleckie, oraz tabor z kapitanem Przepilińskim.

Ponieważ już dzień się robił, po krótkiej naradzie ruszyliśmy dalej w sile około 200 ludzi, a za nami tabor z licznymi wozami.

Alści w momencie gdy wyruszyliśmy na otwarty step przed okopami, równiutki jak stół, — ryknęły wściekle armaty austriackie, które dotychczas przez całą noc milczały. Najbliższa bateria zasypała nas szrapnelami i granatami.

Nastał sądny dzień.

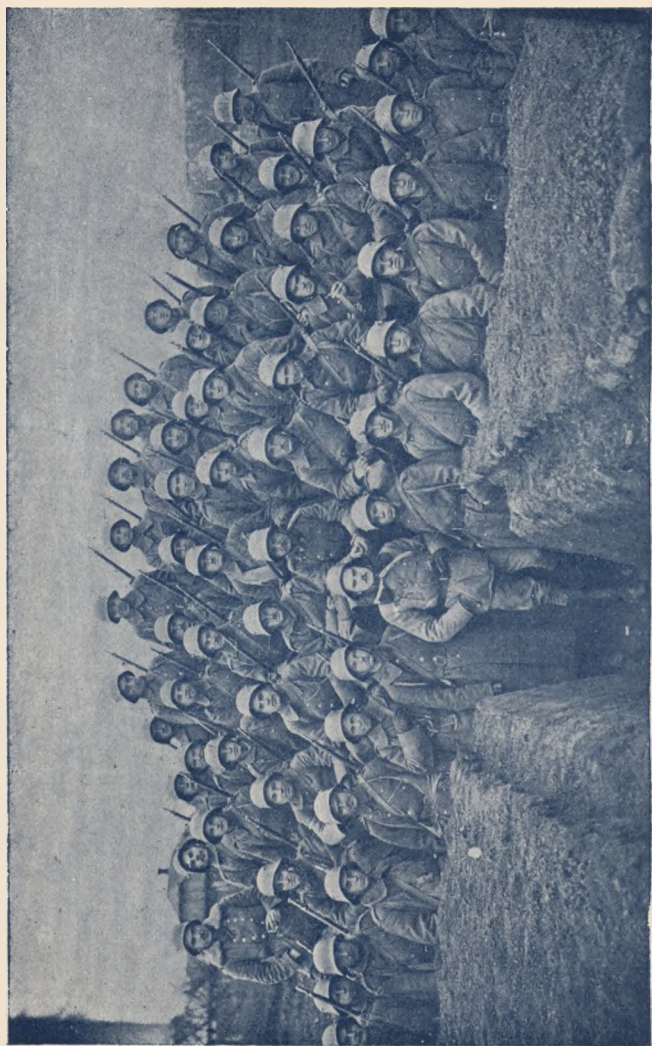
W piekle ognia, w ulewie żelaza trysnęły strumienie krwi, zażęgotały po zmarzniętej ziemi stalowe hełmy, spadające z urwanemi głowami, wylatywały w powietrze wraz z kupą ziemi poszarpane ciała legjonistów, dzierżące jeszcze mocno w stygnących rękach karabin. Z jękiem ludzkim mieszał się przeraźliwy kwik rannych koni, — a tu czyste pole, nigdzie nijakiego schronu, — a cofać się nie można, bo z tyłu, od Rarańczy posuwa się gęsta tyraljera austriacka, — a armaty piekielnie grają.

Lecz piechurowi-legjoniście nie straszne armaty, które ziejąc ogniem, majaczyły na oddalonem wzgórzu. Rzuciliśmy się ławą w ich stronę, by im pyski pozatykać. Widząc austriaccy artylerzyści szaleńców pędzących wichrem, ze strachu zaprzestają ognia.

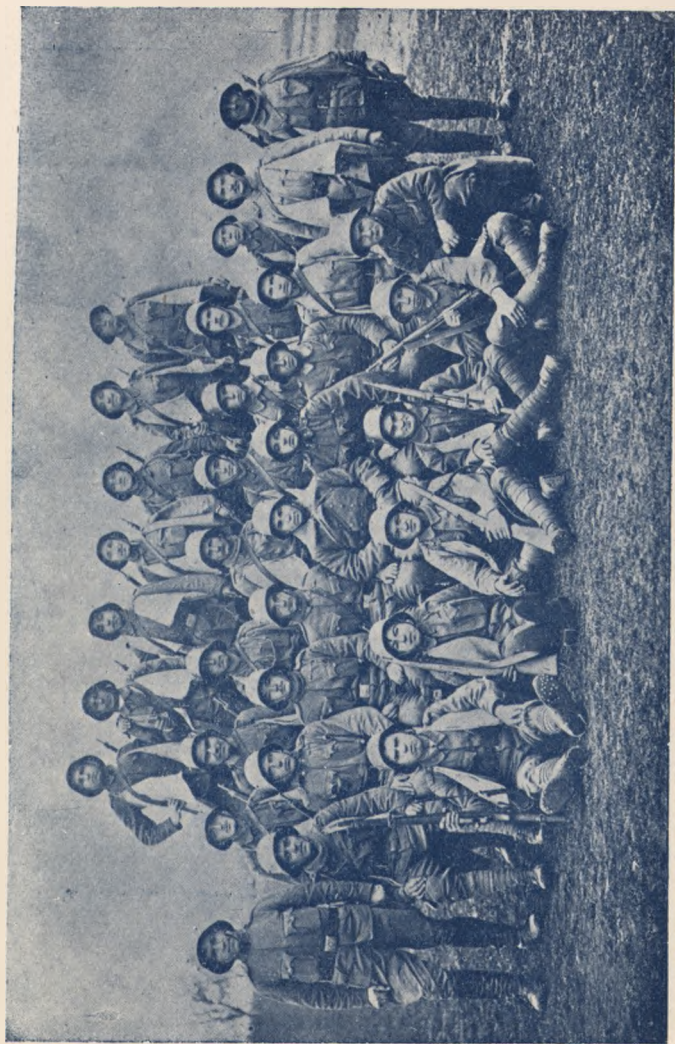
Pędzimy dalej w ich stronę...



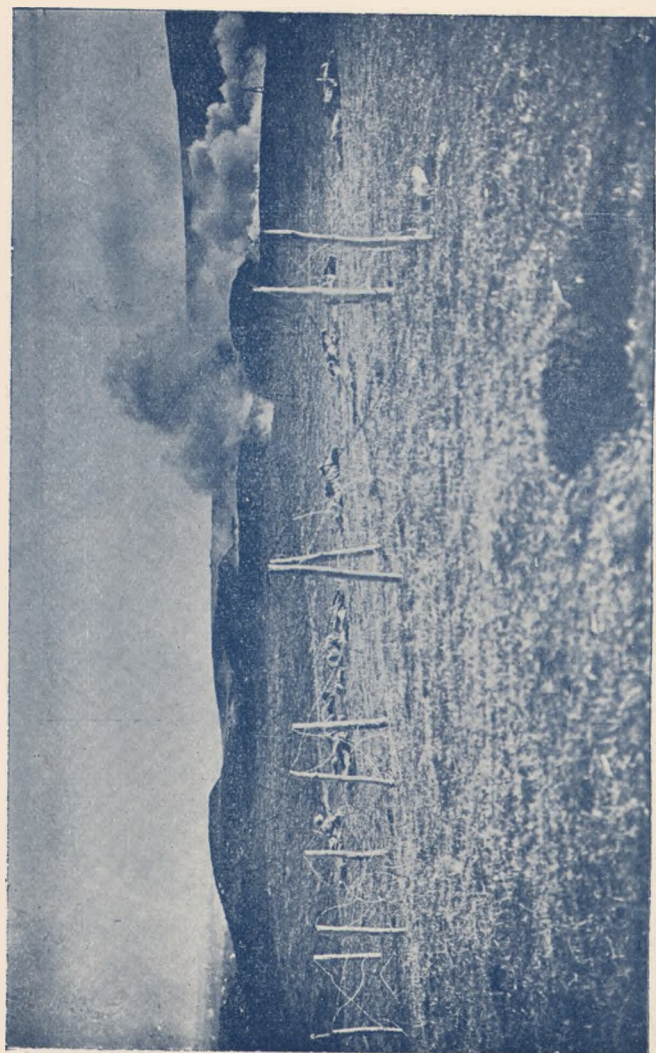
1) Bryg. Haller, 2) gen. Zieliński 3) ppłk. Żymierski, 4) kpt. Zagórski,
5) major. Zając.



Szturmówka z porucz. Józwą (porucz. Józwa w kożusku)



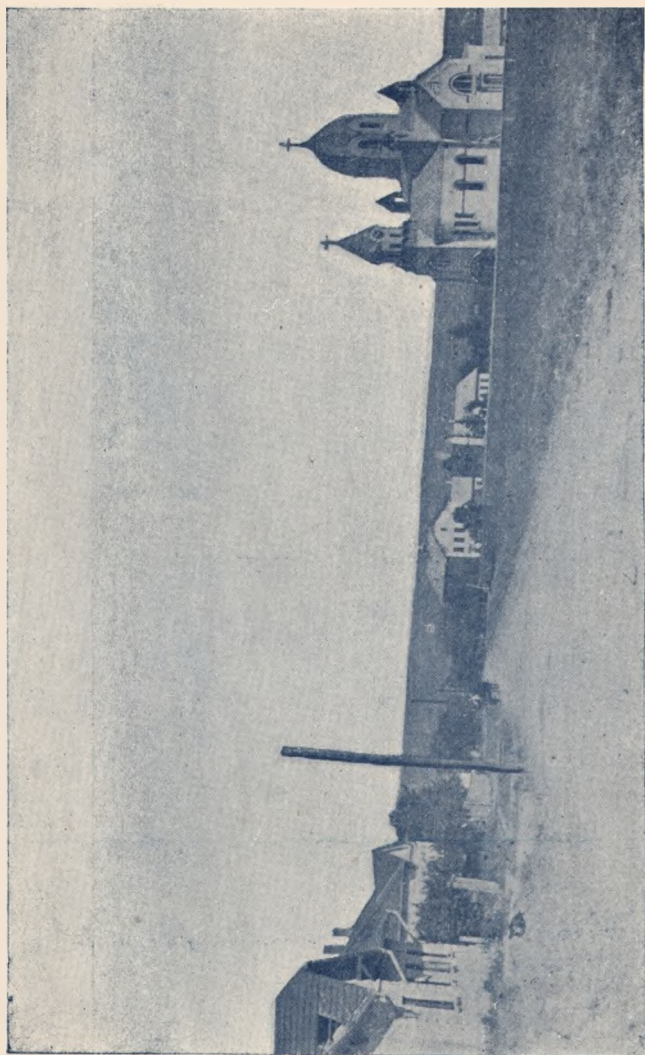
Pluton szturmowy.



Szturmówka w ogniu.



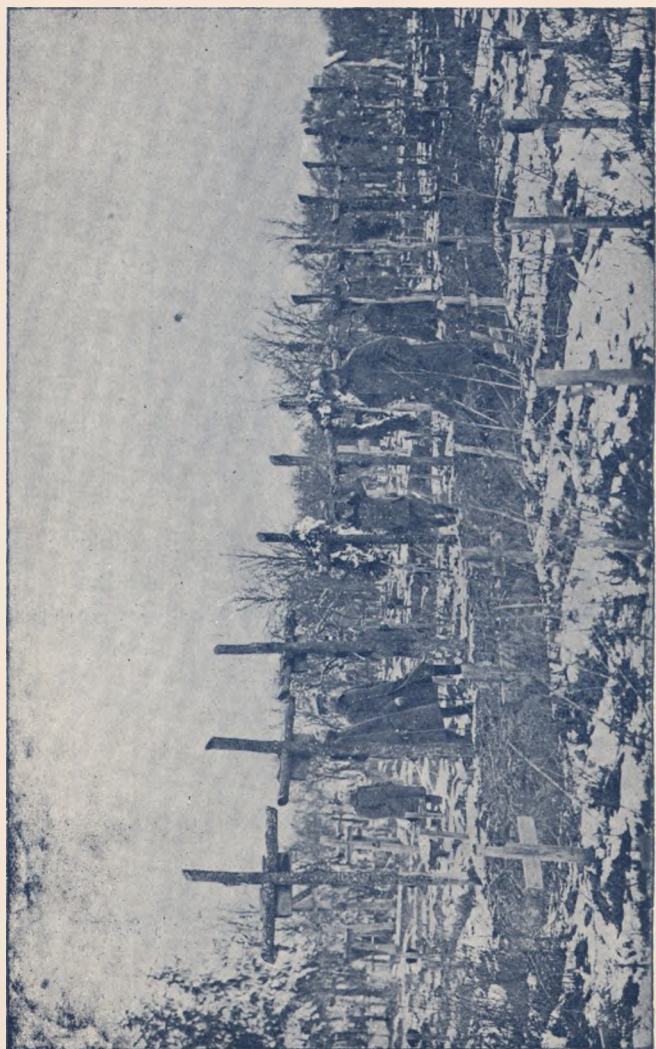
Na krótko przed bitwą pod Rarańczą.
Przełąd Brygady przez cesarza Karola.



RARAŃCZA.



„Orkiestra” leguńska w okopach pod Rarańczą.



Cmentarz legionowy w Rarańczy.

W pewnej chwili pada komenda :

— Pod ostrym kątem biegniem na okopy austriackie.

Spostrzegli manewr austriacy i „zagrali“ nam opętańczo do biegu.

I rozpoczął się szalony wyścig z szrapnelami, granatami. Pędziliśmy z furją w stronę okopów, które widniały w odległości może 600 metrów. Wśród burzy ognia biegliśmy w pojedynkę od leja do leja, od dołu do dołu, od zagłębienia do zagłębienia, łapiąc tylko oddech sekundami a armaty ziały ogniem, polując nawet na pojedynczych legunów, rozrzuconych po stepie.

Wreszcie dopadliśmy okopów.

Na chwilę byliśmy bezpieczni, bo artylerja strzelać nie mogła ze względu na swych żołnierzy.

Widząc pędzących nas jak burzę, porzucili broń i stanęli bezradni.

Pamiętam komiczną chwilę, jaka miała miejsce, gdy stanąłem tuż przed okopem.

Oto stoi ze czternastu żołnierzy austriackich, na czele z młodziutkim „fähnrichem“ w rowie.

„Bohaterski“ młodzieniaszek saltuje z odległości trzech kroków, przedstawia się i prosi mnie na „czarną z rumem“. — Skapowawszy, że palnął głupstwo bo przecież nie sam byłem, dodał że prosi wszystkich.

Miałem okruteczną ochotę „chlapnąć“ ze dwa razy, moi towarzysze też, — lecz było to niebezpieczne.

Krzyknawszy fähnrichowi: pies cię drapał, — skończyliśmy przez rowy i podymaliśmy ku zasiekom drucianym.

O godzinie 8 rano dnia 16 lutego odpoczęliśmy krzywą w okopach... lecz już rosyjskich, które puste były.

Byliśmy ostatnim oddziałem, który przebił się przez pozycje austriackie.

Buchnęło z piersi tej ostatniej grupy szaleńcze:
Hura!... Psiakrew!... już wolni!...

— — — — —
Z tyłu za nami grają maszynówki, ryczą armaty, pękają granaty ręczne, — to tabory i ich osłona z kapitanem Przepilinskim na czele stacza śmiertelny bój z austriakami.

Jeszcze dalej wstecz, — pod Żuczka, — inne oddziały z Łużan na czele z ks. Panasiem, po zaciętej obronie idą do niewoli.

Żagórski nie przyszedł — Helman z saperami został rozbity, — Górecki wzięty.

Skończyła się bitwa pod Rarańczą i nasze porachunki ze zdradliwą Austrią.

Zbuntowana Brygada Karpacka w sile 100 oficerów i około 1800 legionistów, poszła szlakiem praojców szukać Wolności i wyrębywać na obcych rubieżach wrota do Niepodległości, — poszła pokonawszy armję austriacką, złożoną z 40 bataljonów piechoty, jednej dywizji konnicy i kilku baterji armat.

III.

Praojców szlakiem.



Jakoby pielgrzym wpatrzon w słońca złoto,
Choć ze znużenia ślania się i pada,
Idzie swym szlakiem z wieczystą tęsknotą
Druga Brygada.

[]. Engicht 3 p. p.]

Było to mroźnym rankiem dnia 16-go lutego 1918 r.

Rarańcza, jako dalszy etap odwiecznej walki Narodu polskiego z Niemcami, jako symbol wiecznego Buntu żołnierza polskiego przeciwko barbarzyństwu germańskiemu, pozostała za nami.

Przycichł grzechot karabinów, tylko armaty austriacko-niemieckie ryczały wściekle, zarzucając pociskami dolinę Francescu, którą posuwały się grupki legionistów, zdążające w stronę Rokitny, leżącej już na terytorjum rosyjskiem.

Zmęczone forsownym marszem i całonocną walką grupy, przystawały na wzgórzu rokitniańskiem, obejmowały łzawym wzrokiem pobojuwisko z r. 1915, na którem legł szwadron rotmistrza Dunin-Wasowicza, — sięgały wzrokiem hen, w sine Karpaty, — żegnały w duszy kurhany kolegów w Rafajłowej, Mołotkowie, Hwoździe, Pasiecznej i pod Maksymcem, — odmawiały szeptem „wieczne odpoczywanie“ za towarzyszy broni spoczywających w mogiłkach pod Toporowcami, Kordonem Rozdorożnym, Zadobrówką, Witelówką i daleko, daleko pod Kołkami, Turmanem, Czartoryskiem i Kostiuchnówką. Pożegnawszy wszystkie miejsca swych krwawych bojów od Maramaros-Sigeth, Töcse, Irholcu, aż po Stołowicze, ruszyły o głódzie i chłódzie, obdarte i bose dawnym szlakiem praocjów, szlakiem Skrzetuskich i Wołodyjowskich w dalszą drogę, szukając na obczyźnie, na tułaczce w męce i udręce wolności i wrót do Polski Niepodległej.

W pośpiesznym marszu, trwającym bez przerwy całą dobę, miały grupy II Brygady wioski bessarabskie i dopiero w nocy z 17 na 18 lutego zgromadziły się w Stawczanach. Po krótkim wypoczynku wczesnym rankiem stanęła Brygada na pochyłości wzgórza, gotowa do dalszego marszu. Przed ruszeniem ks. kapelan Konopka rzucił w dusze żołnierzy kilka słów otuchy, odmówił modlitwę i litanję, po której śpiewem runęły pod stropy niebios z ust legunów słowa „Roty”.

Z Stawczan przez Doliniany maszerując cały dzień, zdążyła Brygada do Orliczan, spiesząc się, bo po piętach deptała jej wysłana w pogoń 2-ga austriacka dywizja kawalerji.

W Orliczanach, gdzie z konieczności zatrzymano się na odpoczynek, wyrosły nagle pierwsze przeszkody. Oto dowództwo 11 korpusu rosyjsko-bolszewickiego w Chocimiu posadzając dowództwo Brygady o kontrrewolucjonizm i z obawy przed polskimi oddziałami, względnie mając inne powody, zabroniło dalszego marszu, polecając czekać 5 dni, aż nadejdą rozkazy z Kijowa. Chcąc nie chcąc czekać musieliśmy. Gdy minęło trzy dni, a rozkaz nie nadchodził, — na czwarty dzień mając już przeciw sobie ludność wioski, która wiedziała, że za kwatery i prowiant zapłaty nie otrzyma, — przy zawieji śnieżnej o godz. 22 ruszyła Brygada w stronę Chocimia. Wyszedszy na szosę pod Dankowcami, skierowała się ku północy. Okrążywszy Chocim od zachodu, koło Rumnej porzuciła szosę i boczną drogą parła ku Dniestrowi, zagłębiając się w głęboki jar.

Czoło kolumny prowadził porucz. Kruk-Szuster.

Po godzinnym marszu jarem, nagle od czoła kolumny rzucono szeptem rozkaz:

— Stać! zachować bezwzględna ciszę!

Przemęczony żołnierz do najwyższych granic, zziębnięty do szpiku, walił się pokotem na ziemię i mentalnie zasypiał. Minęło sporo czasu, gdy znów padł od czoła cichy rozkaz:

— W największej ciszy wstecz zwrot i marsz!

Rozkaz ten był trudniejszy do wykonania niżby się zdawało, oto z trudem dało się poderwać z ziemi żołnierza, który prawie że zasnął snem letargicznym.

Jaki był powód owego cofania się w największej ciszy, nikt nie wyjaśniał, a żołnierze przypuszczali, że popełniono jakiś błąd i że znaleźliśmy się przed pozycjami austriackimi pod Kozaczówką względnie Okopami św. Trójcy.

I rzeczywiście tak było. Brygada znalazła się na przeciw pozycji austriackich ulokowanych pod okopami św. Trójcy, i mogła być w razie jej zauważenia zmieciona ogniem artylerji.

Wycofawszy się z jaru, nie mając wyboru drogi, skierowała się Brygada na most chocimski, który osiągnęła nad ranem.

Runęły strumienie oślepiającego światła reflektorów bolszewickich, rzucane z dawnych wałów obronnych i twierdzy Chocimia. Zrobiło się jasno jak w dzień. Zdawało się, że bolszewicy gotują się do napadu, mającego na celu zamknięcie przejścia przez most.

Żołnierz Brygady walący się przed chwilą z nóg z powodu zupełnego wyczerpania i przemęczenia, nagle oprzytomniał. Wyprężyły się kolumny, zjeżyły się bagnetami gotowe do skoku.

Niezapomniana i straszna chwila, w której na moment, zdający się być wiecznością zamarł dech w piersiach. Z prawej strony groźba ewentualnego napadu a przed sobą niezmiernie długi most, wiszący nad jarem dniestrowym na wysokości kilkudziesięciu pięter, według niesprawdzonych wiadomości ponoć podminowany. Na dnie jaru wzburzone, wezbrane, pokryte gęsto płynącą krą, szeroko rozlane nurty Dniestru.

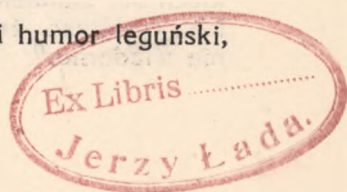
Nie jeden z nas kalkulował i pomstował:

— Bolszewicy niestraszni... ale psiarew ten podminowany most... wzburzone fale Dniestru pokryte krą i ta cholerska głębokość jaru... to nie w kij dmuchał... niech to nagła krew zaleje... taka mać... raz kozie śmierć... było nie było...!

W tem pada rozkaz:

— Kompanjami w odstępach marsz...!

W tej chwili żołnierze odzyskali humor leguński, humor wisielczy.



Poderwały się głosy, wykrzykniki, docinki, kpiny:

Tel... trzymaj fason!... nie zapomnij zameldować się u św. Pietra...! nie zgub portek!... nie zamocz butów...! zostawcie trochę wody w Dniestrze dla nas, nie wychlajcie wszystkiego!... uważajcie na jesiotry!... tel... nie zjedz wszystkich lodów...

Odrywają się kompanje za kompanjami... walaą przez most bez lęku,... deski na jezdni mostu skrzypią, grają, dunią... a na dnie jaru kłębią się, bulgocą i huczą kłębowiska wzburzonych fal dniestrowych...

Gdzieniektóry legun prorokuje:

— A niech to jasny gwint... cholery, rozdziela nas... przejdzie połowa i most fuk do powietrza... a potem... gulasz.

Inny wpada na „proroka“:

— Taka... twoja mać!... pies ci morde lizał!.. zamknij jadaczkę!... cholerski proroku!... bodajci ozór w g.... się zamienił!... Psiakrew zamazanie!...

Jeszcze moment... i ostatni oddział znalazł się na lewym brzegu Dniestru, a cała Brygada na rynku w Żwańcu.

Posypały się pod adresem bolszewików w Chocimiu przeróżne leguńskie epiteta:

— Trącał was kataryniarz... całujcie nas w gębę, jak będziemy w piecu chlebowym głową... jechał was sęk... i t. p.

A potem... zwałił się żołnierz na bruk rynku zwanieckiego... sapał i dmuchał z umęczenia Panu Bogu w okna.

Zaledwie rozlokowaliśmy się na rynku, przybyły do nas z „wizytą“ miejscowe żydki, — a choć to była sobota, nieśli ze sobą przeróżne „cymes“ szabasowe — trochę chały, trochę kugiele, trochę bajgiele, nawet lejkiech się znalazło. Wszedłszy między legunów, zaczęli ich obdarzać temi „specjołami“, — czy szczerze, — nie wiadomo.

Nieco później przybyły grupki okolicznych „pomieszczyków” narodowości polskiej lecz w przeciwieństwie do miejscowych żydków, pojawili się z pustymi rękami, a co najważniejsze (nie dla nas lecz dla nich) z propozycjami handlowymi a mianowicie odkupna od nich bydła, koni, prowiantu i furazu. Dowództwo Brygady podziękowało im za „serdeczną przychylność” i odesłało do stu diabłów. Obmierzłe sobki, — odeszli jak zmyci i więcej się już niepokazali.

Po kilkugodzinnym odpoczynku, w czasie którego dowództwo Brygady wysłało oficerską patrol do Kamieńca Podolskiego, celem spenetrowania czy możemy maszerować na północ, ruszyliśmy w dalszą drogę na Gawryłowce i Chodorowce. Nie mieliśmy jednak szczęścia przyjrzeć się zbliiska starej twierdzy polskiej, na której tak często wyłamywali sobie zęby. Turcy. albowiem wywiad nasz stwierdził, że 19. dywizja bolszewicka stacjonująca w Kamieńcu Podolskim niedopusi do przemarszu przez twierdzę i ze 74. humańskim pułkiem piechoty obsadziła przedmieścia: Dołżok, Karwasary, Podzamcze i t. zw. most turecki, ustawivszy dziesiątki karabinów maszynowych we wszystkich punktach wzdłuż drogi. To też dowództwo Brygady zrezygnowało z marszu na Kamieniec Podolski niechcąc wdawać się w walkę z bolszewikami.

Od Chodorowiec skierowała się Brygada na Ostrowczany, mając za „anioła stróża” oddział kawalerji bolszewickiej, który jadąc lewą flanką, śledził poruszenia nasze. Z Ostrowczan dążąc stepem, kędy dawniej hulały hordy tatarskie a co krok sterczą wysokie mogiły, ślady dawnych bojów przodków naszych, szliśmy wzdłuż przepięknych i malowniczych jarów Smotrycza do Cwiklewiec. Zbliżywszy się do wsi, usłyszeliśmy z nagłą gęstą strzelaninę karabinową. Równocześnie kule jak sta- do podrażnionych os, zaczęły nam brzęczeć nad głowami. Początkowo miało się wrażenie, że to jakiś napad bolszewicki, lecz wkrótce rzecz się wyjaśniła. Oto ludność widząc kupę żołnierzy, a nie wiedząc co zacz są, w ten sposób alarmowania się i skrzykiwała.

Mieliśmy zamiar zatrzymać się w wiosce w celu odpoczynku i pożywienia się co „Bóg da”, bo już od

kilku dni przymieraliśmy głodem, żywiąc się tylko surowymi kartoflami i burakami wygrzebanymi z zamarzniętej ziemi, które minionej jesieni nie wykopano, lecz nieprzychylna postawa ludności pognęła nas dalej, znów ku północy w stronę Paniowiec.

Smutną to była droga. Gdzie spojrzeć, wszędy zgliszcza i kupy popiołu. Z dworów polskich pozostała ruina, sterczały tylko osmalone nagie mury. Znikły cudne ogrody, przepiękne parki, w których dawniej, a może jeszcze wczoraj kryły się dworzyszczka polskie. Pozostały tylko nagie, opalone okaleczały konary drzew, strzelające swemi szkieletami w górę, wyciągające rozpacznie jakby ramiona, skarżące się niebu, że je złość i przewrotność ludzka tak oszpeciła.

Było to dzieło pijanych, rozszalałych, zezwierzęconych i dzikich hord zbolszewizowanej ludności, która po dworach i futorach polskich odprawiała swój piekielny taniec. Wszędzie jak za czasów Gonty, rozlegało się hasło: rznąć Lachów i burżujów, — rznąć pomieszczyków czyli dziedziców.

Przypominam sobie jeden straszny obraz, który dziś jeszcze na wspomnienie ścina mi krew w żyłach.

Weszliśmy do Paniowiec, wsi położonej w malowniczej okolicy nad Smotryczem, w której w XVI wieku Jan Potocki, wojewoda braclawski, wybudował warowny zamek, obok którego kalwini mieli zbór, szkołę i drukarnię. Stał tu później przepiękny pałac, w którym znajdowały się cenne zbiory muzealne i wspaniała biblioteka.

Oderwawszy się na chwilę od pułku, poszedłem w stronę pałacu i zobaczyłem okropności. Oto park prawie że wyrąbany, pałac spalony, bezcenne książki z biblioteki wały się wokół w błocie, obrazy porąbane. z każdego kąta wyglądała straszna pustka. Opodal smętnie stały mury spalonej kaplicy pałacowej, a obok porozwalane trumny z rozrzuconymi szkieletami.

Długo ze strasznym bólem w duszy patrzyłem na tę ruinę, spowodowaną bestjalską łapą krwiożerczego

i barbarzyńskiego bolszewizmu. Wokoło ani żywej duszy, jakby wszystko wymarło.

Zadumę bolesną przerwał mi jakiś człeczyna, siwiuteńki jak gołąbek, zgarbiony, z twarzą żółtą jak pergamin. Wyszedłszy z pobliskich krzaków gdzie się ukrywał, podszedł do mnie, pochwalił Boga i ze łzami w oczach zapytał:

— Panie oficerze, czy tu jeszcze kto kiedy wróci? Dlaczegoście tak późno przyszli? Jeszcze onegdaj wszyscy tu żyli.

Biedny! mniemał, że myśmy przyszli by ich uwolnić od bolszewików i rozszalonego chłopstwa, — nie wiedział, że i my jesteśmy wygnańcami, którzy poszli na obce rubieże szukać wolności i Ojczyzny — a może i śmierci.

Gdy się staruszek wypłakał, opowiedział mi historję ostatnich dni pałacu:

-- W nocy pijane chłopstwo wraz z hordą bolszewików napadło na dwór. Zrabowawszy co się dało, pojmannwszy panów, dwór podpalili. Przy łunie pożaru rozpoczęli mordować pojmanych. Mężczyzn broniących się wiązali, kładli na ziemię, a wbijając im w brzuch ostro zaciosane kołki drewniane, przygważdżali do ziemi. Kobietom wrywali włosy wraz ze skórą, obcinali uszy i piersi, gwałcili, wykluwali oczy i strasznie kaleczyli. Guwernantkę, która uciekła z dzieckiem, pochwytili, nadziali żywcem na kolek, a główkę dziecka roztrzaskali o pień drzewa. W ten sposób wymordowali wszystkich i ruszyli dalej na mord i pożogę.

Staruszkciem, który mi opowiedział te okropne dzieje, był sługa dworski.

Gdy skończył, rozplakał się powtórnie, a odchodząc, z żalem wielkim powiedział:

— Za późno przyszliście!

Stałem jakby skamieniały pod wrażeniem strasznej opowieści. Z zadumy wyrwał mnie szatański śmiech, podobny do rechotu dzikiej bestji. Oglądnowszy się, zobaczyłem pijanego, okrwawionego chłopca w papasze na rozczochranym łbie, z karabinem na ramieniu.

Wyszczerzywszy drapieżne zęby odezwał się:

— Gaspodin oficer, czto wy dumajecie — wot my niemnożko pogulali z Lachami.

Miałem ogromną ochotę grzmotnąć mu w łeb, już chwyciłem za mego Fromera, ale pomyślałem, że szkoda kuli na bydlę — kiedyś znajdzie się mściciel, co go srodze ukaże.

Minąwszy Paniowce, Brygada poszła stepem na Tarasówkę, leżącą w jarze rzeki Mukszy, a stąd do Bagowicy, wioski leżącej nad Dniestrem.

Wyczerpani zupełnie mrozem i głodem skręcającym wnętrzności, mimo protestu i oporu ludności, zakwaterowaliśmy się we wsi. Niedługo trwał odpoczynek. Ludność już na drugi dzień widząc, że za żywność nie otrzyma zapłaty, zaczęła się burzyć, co widząc Haller zarządził dalszy marsz już na trzeci ranek.

O ile pamięć mnie nie zawodzi, w Bagowicy nawiązane stosunki z Kijowem, i to za wyłącznem pośrednictwem i przy ofiarnym wysiłku ś.p. Tadeusza Hołówki dały pierwsze rezultaty. Bolszewicy za cenę zaprowadzenia sowietów w Brygadzie i zdjęcia przez oficerów epoletów (pierwszy warunek odrzucono, drugi przyjęto), przyobiecali zasilić Brygadę taborzem 25 wozów z końmi, kuchniami polowymi i żywnością, w takiej ilości, jaka się zmieści na owe wozy. Czerwonoarmiejcy przysłali „bumagę“ z tem, że ów tabor i prowianty trzeba odebrać w Chocimiu.

IV.

Wyprawa do Chocimia.





nia niepamiętam, ale było to o godzinie 18-ej w Bagowicy, zostaje wezwany do dowództwa Brygady.

Melduję się u brygadjera Hallera, który w krótkich słowach rozkazuje :

— Jutro o godzinie 6-ej rano z 50-ciu legionistami odmaszerujesz do Chocimia. Zgłosisz się w dowództwie 11. korpusu bolszewickiego, — tam odbierzesz tabor i prowianty dla Brygady. Spieszyć się z powrotem, maszerować ostrożnie, nie dać się rozbroić, omijać wioski, mieć się na baczności. Przed wymarszem zdejmiesz epolety, aby nie drażnić bolszewików. Resztę załatwi kapitan Brancer.

Momentalnie coś mi zaczęło we łbie:

Do cholery! przecież ty jesteś „niegramotny“, jak ty ofermo będziesz rozmawiał z bolszewikami?...

Jednym tchem wyrzucam z siebie:

Panie brygadjerze! melduję posłusznie, nie umiem po rosyjsku...

Brygadjer rąbnął mi na to :

— Legionista, a to do tego oficer musi wszystko umieć!

Zatkała mnie chwilowo taka na odlew odpowiedź, ale wykrztusiłem :

— Rozkaz!

Trzasnąwszy „kopytami“, wyszedłem myśląc sobie:
Maul halten, weiter diennen i schluss.

Poszedłem na kwaterę, a była to stajnia z jedną krowiną i dwoma baranami, — a czwarty byłem ja. Ściągnąłem płaszcz wiatrem podszyty, potem bluzę, — popatrzyłem na ukochane „trzepaczki“, — ślipiska zaszyły mi czemś mokrem — i ropiczliwie oderwałem epolety. W tej chwili miałem wrażenie, że coś się we mnie łałało, — coś mi ciureczkiem po gębie pociekło, a z ust wyrwało się jakby skarga:

— Psiakrew! druga dobrowolna degradacja.

Poszedłem do kapitana Bancera, dostałem 50 rubli na zaprowiantowanie 50 ludzi. — a na drugi dzień o świtaniu już maszerowałem do Chocimia, a Brygada naprzód w przeciwną stronę.

Odezwały się pożegnania:

— Cześć!... cześć!... Trzymajcie cholery fason!... Szczęśliwej drogi!... Nie dajcie z siebie zrobić mamaługi lub gulaszu!..

Po trzech dniach forsownego marszu, około godziny 15-ej wchodziłem ze swoją „armją“ do Chocimia. Zgłosiłem się bezwzględnie w dowództwie korpusu bolszewickiego wraz z tłumaczem chorążym Radomskim, którego Haller litując się mej „niegramotności“, w ostatniej chwili przydzielił do mego oddziału.

Przyjął nas „komandir“ korpusu w otoczeniu pięciu „sztabowców“. Patrząc na ten „sztab“, mróz przechodził po kościach. Gęby „od siekiery“, mundury z plamami zakrzepłej krwi, w gabinecie brud, smród i... „gorzelnia“. „Komandir“ wzrokiem „z pod ciemnej gwiazdy“ lustruje nas od stóp do głów, — chwilę się namyśla, wstaje, kręci się jakby mu z czemś, czy w czemś było niewygodnie, wreszcie pijackim głosem rechoce:

— Wy od kuda towarzysze?...

Walę mu po polsku: my od Hallera.

Zamruczał pod nosem:

— Da, da! Gallera...

Chorąży Radomski rozpoczyna z „komandirem“ konwersację. Ponieważ była ona dla mnie „tureckiem

kazaniem“, więc rozpocząłem obserwację gęb „sztabowców“. Trud się opłacił. W jednej rozpoznałem rysy semity, który mnie ciekawie świdrował oczami. Gdy „komandir“ zaczął walić pięścią w biurko i „rozstawiać po kątach“ wszystkie nasze matki, siostry i ciotki, wówczas ja przysunąłem się do owego „sztabowca-żydka“ i prosto z mostu w języku żargonowo-niemieckim, przedstawiłem szeptem całą sprawę. Rezultat był taki, że mój żydek odszepnął mi:

— Towariszcz! hab nyszt a mojre! — es soł git sein! — nur rect kein gunyś!...

— Towarzyszu! nie bój nic! — będzie dobrze! — tylko nic nie gadać!...

Potem powstał, spojrzał „wilkiem“ na „komandira“, krzyknął kilka razy „sza!“ i zawołał jakiegoś dryblas. Poszeptał coś z nim, wskazał na mnie i znów usiadł.

Czerwony dryblas zabrał nas w swoją opiekę.

Wychodząc z gabinetu „komandira“, słyszałem jak mój „żydek-sztabowiec“ mruczał pod nosem:

— Ganyf, szrucim, mamzaj, —brojch di kiskies und di wompen.

Pod czym adresem były wysyłane te paskudne epitety, nie wiem — lecz przypuszczam, że pod adresem „komandira“.

Dryblas zaprowadził żołnierzy moich na kwatery, zaś mnie z Radomskim i trzema podoficerami ulokował w jakimś hotelu naprzeciw sztabu.

Na drugi dzień przy wysokiej gorączce z powodu przeziębienia, pokatulałem się z Radomskim znów do sztabu korpusu. Tu otrzymaliśmy „tałonczyk“ do intendentury. Poleżyliśmy tam i dowiedzieli, że możemy „coś“ otrzymać, lecz po to trzeba iść do Dankowiec i Mamalugi na granicę rumuńską.

Rozpacz mnie ogarnęła przeokropna, bo marsz wzdłuż granicy austriackiej był niebezpieczny, w dodatku blisko 40 stopni gorączki to nieprzelewki. Nie wie-

działem co robić, a przecież rozkaz trzeba było wykonać, choćby z uwagi na głodnych, towarzyszy broni.

Na dobitek przyszedł Radomski z wieścią, że tabory i prowianty są pod opieką najbardziej zrewolucjonowanej brygady bolszewickiej, która dobrowolnie nie wyda ani wozów, ani kuchni, ani prowiantu, oraz że łatwo może przejść do awantury.

Po naradzie stanęło na tem, że część oddziału pomaszeruje do Mamalygi, część do Dankowiec, zaś reszta pozostanie w Chocimiu, gdzie po otrząśnięciu się z chwilowej choroby, miałem nadzieję coś wytargować.

Na drugi dzień Radomski odszedł w stronę Mamalygi, ja zaś mającąc w gorączce, szwendałem się od sztabu do intendenty, od intendenty do sztabu w nadziei otrzymania czegoś.

W trzecim dniu zjawił się jeden legionista z oddziału Radomskiego z meldunkiem, że w Mamalydze otrzymano z trudem jedną kuchnię o jednym kotle, dwa wozy jednokonne i trochę prowiantu w postaci końskich sucharów. Na czwarty dzień rano zjechał ów „tabor“, a konwojenci jego zameldowali, że oddziałowi groziło rozstrzelanie i że chorąży jego Radomski musiał uchodzić z resztą oddziału na Large i Mohylew.

Zrozpaczony niepowodzeniem, powlokłem się ostatkiem sił do sztabu, lecz odprawiono mnie z kwitkiem.

Po południu tegoż dnia wybrałem się jeszcze raz do sztabu. Załedwie stanąłem na ganku hotelu, gdy z przerażeniem zobaczyłem kawalerję austriacką, wjeżdżającą na plac koszar, w których mieścił się sztab korpusu. Nie namyślając się wiele, skoczyłem chyłkiem do sztabu, prosząc o pomoc w postaci mundurów rosyjskich, by się przebrać i nie być poznany przez austriaków. Zawiodłem się jednak. W sztabie spotkałem się z nieopisaną paniką „Komandir“ pakował się na gwałt i za chwilę z sztabem wywiął autem ciężarowym do Kamieńca. Spotkany jakiś „starszy“ czerwonoarmiejec, łamaną polszczyzną powiedział mi z kpinami:

— Możecie dostać tylko przepustki jako plenni, więcej nic nie możemy zrobić, — a austriacy najwyżej mogą was powiesić, — ot co!

Zobojeźniały na wszystko, zmaltretowany chorobą i gorączką, machnąłem ręką i powróciłem do hotelu. Lecz i tu już miejsca nie było. Właściciel żydek z obawy przed austriakami, kazał się nam wynosić, grożąc nawet oddaniem w ich ręce.

Trzeba było wiać z miasta jaknajprędzej, by nie wpaść w paszczę kawalerji austriackiej. Nie chcąc ryzykować powrotu przez most zwaniecki, który mógł już być obsadzony przez austriaków, — wraz z czterema legjonistami przeskakując płoty i parkany podążyliśmy na plebanję, gdzie proboszcz polskiej parafji mógł nam udzielić wskazówek lub schronienia. I rzeczywiście biedak chciał nas ratować, lecz nie wiedział jak. Zdjął z siebie krótki kożuszek, a oddając mi go, kazał się przebrać. Podziękowałem. bo i cóż krótki kożuch i do tego jeden mógł nam pomóc. W tej chwili wpadł organista i ten dopiero wskazał nam drogę, którądy mogliśmy się przedostać na lewy brzeg Dniestru z pominięciem miasta i mostu.

Wybiegliśmy z plebanji i bocznemi drogami zdążyliśmy ku Dniestrowi. Za chwilę dopędził nas organista, który najkrótszemi drogami sprowadził nas do przeprawy.

Już nad brzegiem Dniestru dopadli nas żołnierze 117 pułku bolszewickiego i chcieli aresztować. Dzięki interwencji organisty uniknęliśmy tej „przyjemności“ i za chwilę w łódce-łupinie prowadzonej ręką starej kobieciny, zaczęliśmy się przeprawiać po dwóch przez rozlewny, wzburzony, zasiany krą Dniestr naprzeciw Bragi.

Gdy już miałem z ostatnim legjonistą siadać do łódki, przystąpił do mnie jakiś człowiek, a zdejmując z siebie nowy szynel rosyjski prosił bym go wziął, bo mi się przyda.

Wziąłem. Naciągnawszy go na swój wiatrem podszyty płaszcz, wsiadłem do łódki i po upływie pół godziny, złączyłem się z grupką poprzednio przewiezionych.

Szynel rzeczywiście się przydał, bo uchronił mnie od przykrych następstw silnego przeziębienia, tak jak się

przydały 100 rubli, które proboszcz chocimski przysłał nam przez organistę. Gdyby nie owe 100 rubli, byłibyśmy niezawodnie z głodu gdzieś padli w drodze.

Opuściwszy Bragę, przez futor Małajdochę, Rudę, Cwiklewcę i Bagawicę pędziliśmy dniem i nocą śladami Brygady, pragnąc jaknajprędzej z nią się połączyć. Stało się to dopiero w Sokulcu po tygodniu wędrówki.

V.

Dalszy marsz praojców
szlakiem.





chwili gdy z oddziałem wychodziłem z Bagowicy w stronę Chocimia, Brygada ruszyła o świcie w dalszą drogę.

Smutny i bolesny był to dzień. Przemęczony żołnierz forsownymi marszami, z popuchniętymi i pokaleczonymi nogami, prawie że bosi już i obdarty, z trudem dźwigał się do dalszej drogi. Jednak gdy już dźwignął się i zaczął ruszać pedałami, to szedł dalej, nabierał humoru, choć do marszu przygrywała mu „orkiestra” pustych żołądków i kiszek. Garnął naprzód z relutońską fantazją, poświstując sobie po leguńsku.

Kto spotkał wówczas tę „buntowniczą bandę”, która bryzgnąwszy śliną w twarz zdradliwej Austrii — „ustawiła” się do jej c. i k. majestatu „zadkiem” — myślał, że Brygada opływa we wszystko i ani przypuszczał, aby jej żołnierz głód cierpiał. A przecież tak było.

Gdy kto z obcych zapytał żołnierza o tabory, prowiant i t. p. rzeczy, otrzymywał butną odpowiedź:

— Tabory ciągną za nami, — prowiantu mamy do cholery, — zjeść możemy ile chcemy, — pieniędzy... cztery pełne kasy na czterech wozach.

Gdy obcy odszedł, ten sam żołnierz mruczał do siebie:

— He!... taki... syn... jaki ciekawy... Cholera na niego!... He! he!... do żarcia jest kupa!... tylko z głodu... płuć nie możemy... Psiakrew!... ciekawski!...

Opuściwszy Bagowicę, ruszyła Brygada przez Wróblewce, futor Czuwaszy, Słobódkę na Kitajgród, niegdyś miasteczko warowne z obronnym zamkiem, trzymającym dumnie straż nad Dniestrem i „Tatarskim szlakiem“, z którego wieje pustka i martwota, a po dawnej świetności pozostały kurhany wokoło, kupa gruzów i wyniosłe wały obronne.

W tym czasie przyłącza się do Brygady kapitan lekarz Matczyński, naturalnie także legionista, który zabrawszy po ucieczce bolszewików z Kamieńca dwie fury amunicji i karabinów, przytaskał je do Brygady.

Jeszcze poprzednio przypętał się do nas rotmistrz Engel z oddziałem kawalerji, z którym buszował po okolicy w nieznanych bliżej celach. Haller miał zamiar wcielić jego oddział w szeregi Brygady, lecz Engel za to zażądał wolnej ręki w działaniu i samodzielności. Skończyło się na tem, że pozostawiono mu „wolną rękę“ i odesłano do stu diabłów.

Od Kitajgradu skierowano się na północ i przez rzekę Studenicę pociągnięto na Żwańczyk, a stąd do Sokółca, leżącego nad strumieniem Pobujanką, gdzie to „imci pan Wołodyjowski“ ze swą najmilejszą Basią przemieszkował około cztery lata w zamku warownym, zniszczonym przez Tatarów w roku 1241, a później do stanu mieszkalnego doprowadzonym.

Jak wszędzie, tak i przez Sokółec przeszła fala dzikich hord bolszewickich, pozostawiając ślady swego barbarzyństwa w kościele O. O. Dominikanów, wzniesionym przez Stefana z Rycht Humanieckiego, wojewodę podolskiego w r. 1723.

W Sokółcu zatrzymała się Brygada 2 dni.

I znów powtórzyła się ta sama historia co w Bagowicy. Zbolszewizowana ludność ukraińska odmawiała kwater i pożywienia żołnierzom. Położenie Brygady stawało się coraz krytyczniejsze. Zdarzały się wypadki, że na pojedynczych legionistów, wyczerpanych pochodem i głodem, nie mogących nadążyć za Brygadą i pozostających w tyle, zdziczałe i pijane chłopstwo jak za czasów „koliszczyzny“ napadało i bezlitośnie mordowało. Niejednokrotnie dochodziło do tego, że na żoł-

nierzy śpiących gdzieś na krańcu wioski, ludność napadała, chcąc ich we śnie wyróżnić. Przezorny i ustawicznie czuwający Haller wraz z oficerami niweczyli te barbarzyńskie zapędy chłopstwa ukraińskiego.

Nieraz gdy żołnierz po 18-to godzinnym marszu usnął snem kamiennym, czuwali nad nim dowódcy pułków Zajac i Żymierski, choć sami ledwo trzymali się na nogach. Gdy zagrażało większe niebezpieczeństwo ze strony rozhulanego i pijanego chłopstwa, to przy kwaterach śpiących legionistów odbywali wartę oficerowie i podoficerowie z bronią w rękę.

Ileż to razy widziało się również wśród ciemnej nocy kapelana ks. Konopkę jak z różańcem w rękę szepcząc modlitwy, ledwo żywy, włókł się od kwatery do kwatery, trzymając straż nad śpiącymi. Ileż to razy widziało się kapitana lekarza Stenberg-Michnowskiego jak wlokąc utrozione pedały z rewolwerem gotowym do strzału przepatrywał ciemne uliczki wioski, czy się w ich zakamarkach nie kryje zdrada.

Z Sokółca poszła Brygada przez rzekę Kalus na Olchowiec, a stąd do Wierzbowca, leżącego przy ujściu Batoga do Zamiechówki, mizernej mieściny, którą niegdyś pijany Bohdan Chmielnicki własnoręcznie podpalił, tak że zgorzała do szczytu. Przebywszy rzeczkę Zamiechówkę wkroczyliśmy do Kuryłowiec Murowanych, leżących nad rzeką Zwan, sławnych niegdyś potężnem zamczyskiem, którego mury wystawiono bez użycia zaprawy murarskiej, bowiem głazy kamienne klinami zachodziły jeden w drugi. Niewielkie to miasteczko znane dobrze z historii wojen kozackich, położone w przepięknej okolicy, ze wspaniałym pałacem, otoczonym wprost bajecznym parkiem o wiekowych drzewach, pamiętających jeszcze ród Czuryłów, i Katarzynę z Potockich Kossakowską, kasztelanową kamieniecką, — zostało zamienione w kupę gruzów. I tędy przeszła niszczycielska stopa pijanego barbarzyńcy-wandala chłopu ukraińskiego. Dwór spalono, park zniszczono. Na kilku wiekowych dębach widniały jeszcze sznury, na których rozbestwione chłopstwo powywieszało niedawnych „pomieszczyków-burżujów”. Pod jednym z drzew wały się wnętrzości ludzkie i odrąbana ręka kobieca, koło których sfera psów wał-

czyła zawzięcie, wrywając sobie z pysków te szczątki człowiecze.

Człek mimowoli oczy zasłaniał, by nie widzieć tych okropności.

Od Kuryłowiec spotykaliśmy na każdym kroku zgłiszcza już nie tylko dworów, ale i domostw bogatych chłopów, których „towarzyszczy” zakwalifikowali również do burżujów, mordując ich, grabiąc i paląc dobytek.

Niektóry z takich chłopów-burżujów pragnąc uchronić się od napadu, zmieniał swe osiedle w fortecę. Spotkaliśmy osiedla otoczone wałem, rowem i drutem kolczastym. W bramach wjazdowych widzieliśmy ustawione karabiny maszynowe, a nawet armaty, zwrócone wylotami na zewnątrz.

Czy ktoś ze służby takiego wiejskiego burżuja umiał obchodzić się z tą bronią, — niewiadomo. Lecz że była postrachem dla grasujących i pijanych band, to nie ulega wątpliwości.

Niezatrzymując się długo w miasteczku, szła Brygada dalej i dalej.

Przesunęły przed oczyma naszymi rzeka Ljadowa, linja kolejowa Żmerinka-Mohylew, miasteczko Łuczyniec, aby po 16-to godzinny marsz znaleźć się w Ożarincach nad rzeką Niemliją. Po kilkugodzinny postoju, wobec wrogiej postawy ludność, z którą dowództwo Brygady nie chciało wchodzić w konflikt, ruszono dalej przez Serby do Czerniejewiec nad Murachwą.

W czasie marszu z Kuryłowiec do Ożariniec posłała wyprawa pod dowództwem porucznika Liszki do Mohylewa nad Dniestrem po armaty, które bolszewicy tam zostawili. W wyprawie brało udział około 80 legjonistów a także oficerowie Steblewski i Wolski, oraz podchorąży Rogowski. Wyprawa w Mohylewie natknęła się na wojska austriackie, które starały się odciąć odwrót legunom. Skończyło się na tem, że austriacy stchórzeli, a leguny wycofały się w porządku.

Z Czerniejewiec skierowała się Brygada na południe — a dążąc prawym brzegiem Murachwy, przeżykając się pomiędzy bandami bolszewicko-chłopskimi.

które hulały po okolicznych wsiach i futorach — maszerując dniem i nocą, śpiąc w pochodzie, podobna do szkieletów, dociągła się z trudem do Jarugi, leżącej w głębokim jarze Dniestru, z którą łączy się wspomnienie walk Wołodyjowskiego i jego Baški z watachą Azba-beja.

Lecz i w Jarudze nie spoczęliśmy. Dochodziły wieści, że bandy bolszewickie dobrze uzbrojone, które bokami nam towarzyszyły, gromadzą się w okolicy, aby nas napaść zniecka i rozbroić.

Trzeba było jaknajprędzej połączyć się z II. Korpusem a unikać walki z bolszewikami, którzy będąc w konszachtach z Niemcami, mogli nam zadać cios i przynieść klęskę.

Na walkę Haller zgodzić się nie mógł z dwóch przyczyn, po pierwsze byliśmy bez amunicji, po drugie wynędziały forsownemi marszami i głodem żołnierz, nie był zdolny stawić takiego oporu, któryby gwarantował zwycięstwo.

W takich warunkach koniecznem było zrezygnować z odpoczynków i zbliżyć się jaknajprędzej do Sorok, gdzie stał II Korpus Wojska Polskiego.

I znów ruszyła dalej Brygada.

W drodze gdzieś koło Buszy zapanowała w szeregach naszych nieopisana radość. Oto nawiązano kontakt z dowództwem II. Korpusu, który litując się naszej nędzy, wysłał naprzeciwko nas kilka fur chleba.

Żołnierz Brygady wprost szalał z radości na wieść, że niedługo zobaczy dawno niewidziany chleb.

Znalazł się tam gdzieś w szeregu niedowiarek, który wyrażał swe powątpiewanie:

— Cholera!... chcą nas bujać!... Czekaj małpi królu!... będziesz żarł „boski“ (tak leguny zwały chleb) aż się będziesz wydzierał!... Psiakrew!... chcą nas obiecanką podciągnąć!... Jasności ogniste!.. przecież i tak pójdziemy!... nawet do piekła!...

Wpadł na malkontenta inny:

— Zamknij ofermo swoją jadaczkę!... przecie i tak ledwo zawiasami ruszasz!... Pazyruje obibok i pazyruje!... Cholerski pyski!..

Jeszcze inny woła:

— Dobrze gada!... dać mu rumu!...

Chleb rzeczywiście przyjechał. Leguny żarty na zapas, aż się im uszy trzęsły, a ślipiska śmiały z ukontentowania.

Po całodziennym marszu dotarliśmy wieczorem do Bili a przenocowawszy tutaj, o świtanu podrałowaliśmy do Jampola, dokąd przybyliśmy po południu, dnia 4-go marca 1918 r., przebywszy w ciągu kilku dni zgorą 300 klm. — nie wliczając tu dni przymusowych i dobrowolnych odpoczynków.

O ile sobie przypominam pod Jampolem przyłączył się jakiś oficer, który zabrawszy od bolszewików z Kamieńca Podolskiego baterję armat, przytaskał ją za narni. Był to zdaje się podpułkownik Rojek.

W Jampolu, niegdyś obronnym miasteczku z potężnym zamkiem na skale, gdzie w pierwszych latach „ruchu hajdamackiego” była siedziba kozactwa, skąd czynili wyprawy na ziemie polskie, — narazie zakończył się pierwszy okres wędrówki II. Brygady Karpackiej, — okres nieopisanych trudów i znoju, — okres najwyższego wysiłku i poświęcenia, — okres bezbrzeżnej męki fizycznej, — okres nędzy i głodu.

Lecz mimo wszystkich cierpień. ta garść straceńców parła naprzód, zdając sobie sprawę, że choć po cierniach, ale idzie do wolnej Polski.

Jampol i Soroki, — dwa miasta oddzielone Dniestrem i jego „porohami”.

W jednym z lewego brzegu na nieprzyjaznem a nawet wręcz wrogiem terytorjum stoi II Żelazna Brygada Karpacka wpatrzona na wschód, wycieńczona do ostatnich granic, — w drugim na prawym brzegu biwakuje na gościnnem obszarze rumuńskim II Korpus

Wojska Polskiego spoglądający na zachód, pragnący spokoju i kąta domu rodzinnego a przytem zasobny.

Jeszcze dzień, dwa — moment, a obie formacje połączą się. Czy będą żyć w zgodzie?... Czy pójdą do jednego celu, którym jest Niepodległa Polska?...

Zanim znajdzie się odpowiedź na to pytanie, zapoznajmy się pokrótce z historją powstania II Korpusu.

W dniu 2 grudnia 1917 r. odbył się w Kiszyniewie zjazd wojskowych Polaków frontu rumuńskiego. Na zjeździe wybrano „Komitet Wykonawczy Polaków Wojskowych frontu rumuńskiego” z pułkownikiem Bobickim na czele.

Komitet Wykonawczy przy wybitnym współdziałle pułkownika Nakoniecznikowa-Klukowskiego, pułkownika Sikorskiego i innych przystępuje do zorganizowania II. Korpusu. Organizację ukończono w krótkim czasie, tak że w lutym 1918 r. liczył Korpus około 8.000 żołnierzy różnych gatunków broni. Na czele Korpusu jako dowódca stanął generał dywizji Stankiewicz.

W drugiej połowie lutego przedstawiciele państw koalicyjnych działających na terenie Rumunii, zwracają uwagę na II. Korpus. — i pod koniec lutego odnoszą się do Komitetu Wykonawczego Polaków Wojskowych, proponując utworzenie wspólnego frontu z Koalicją.

W odpowiedzi na propozycję, Komitet Wykonawczy wysunął jako warunek współdziałania, ogłoszenie przez przedstawicieli Koalicji deklaracji do Narodu polskiego, że jednym z celów wojny dla nich, jest odbudowa niepodległej zjednoczonej Polski z dostępem do morza. Równocześnie Komitet upoważnił przewodniczącego Komitetu do zawarcia i podpisania umowy na wymienionych zasadach.

Przeprowadzone pertraktacje z władzami koalicyjnymi przy wybitnem współdziałle przedstawiciela II. Brygady Karpackiej majora Władysława Gniadego-Trzecieckiego, zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

W dniu 3-go marca Komitet Wykonawczy otrzymał za pośrednictwem ambasadora włoskiego Fasciotti deklarację Koalicji podpisaną przez pełnomocnych Anglii — S. Barclaya, Stanów Zjednocz. Ameryki Pół. — J. Vopicka, Francji — Staint Aulaire i Włoch—Fasciottiego mocą której wymienione państwa uznały Niepodległą Polskę z dostępem do morza.

Deklaracja wzmiankowana, była olbrzymim sukcesem politycznym, sukcesem, który odniosła „zbuntowana“ II. Brygada Karpacka i żołnierz II Korpusu.

W dniu 5-go marca wysuwa się nas kilku do Sorok. „Wiejemy“ pojedynczo.

Ja w towarzystwie chorążego z II. Korpusu, którego nazwiska nie pamiętam, siadam w łódkę—i „jazda“ przez wezbrany Dniestr. Za godzinę znalazłem się w Sorokach w kasynie oficerskim. Była pora obiadowa. Oficerów kupa, wszyscy podobni do ludzi, czysti, wygoleni i zadowoleni.

W pierwszej chwili rzucili się do mnie hurmą, lecz wnet zaczęli odstępować na odległość paru kroków. Nie zdziwiło mnie to, boć przecież byłem nie podobny do ludzi. Łeb z skołtunionemi włosami, — pysk zarośnięty jak u niedźwiedzia, — śmierdziało od człeka jak z kloaki, bo koszuli już dawno nie miało się na grzbiecie, — przepalił ją pot i zjadły wszy, — mundur przepocony i wiecznie mokry nie wydawał zbyt przyjemnej woni, — pedały tkwiące dzień i nocą w butach, wydawały woń straszliwie zjełczałego sera. Kto wie coby się stało — kto wie czy nie musiałbym opuścić ciepłego salonu, gdyby nie jakiś lekarz, który skoczył na oficerów krzycząc:

— Czegóż stoicie beczynnie?... Rozbierzcie go!... dajcie wody ciepłej i mydła!... czystą koszulę i gacie... portki i rubaszkę... przebrać go... ogolić... a potem dać go do stołu.

Nie wiem jak się to stało, lecz za jakieś pół godziny, na poły nieprzytomny, znalazłem się przy stole i pełnym talerzu rosółu z jakąś kaszą. Chwyciłem za łyżkę i zacząłem łapczywie chłać, gdy w tem znów ten sam lekarz chwycił mnie za rękę i zawołał:

— Nie tak łakomie bratku... niewolno, zaszkodzi.

Zakląłem szpetnie, — cholera mnie brała z wściekłości, — mieć przed sobą taki specjał, a nie móżdż go zjeść z talerzem i łyżką,—wydawało mi się zbrodnią.

Lekarz był jednak nieubłagalny. Sam przyniósł mały kubek gorącej wody, czemś słonem zaprawionej, kazał to wypić, a potem rzekł:

— Bolsze ni czorta! — aż za godzinę.

Kląłem go w duchu... rozstawiałem mu familję po kątach, ale to nic nie pomagało. Przyznawałem lekarzowi rację, — ale racja racją, a mnie się żreć chciało, a tu psiakrew zabraniali mówiąc, że człek zachoruje. Cholera! jak się nie zachorowało z trzecztygodniowego głodu, toby się nie zachorowało z jednogodzinnego żarcia. Ale gadaj tu z lekarzami! — Legun swoje — a łapiduch — lekarz swoje.

— — — — —

W dniu 6-go marca Brygada znalazła się na prawem brzegu Dniestru w Sorokach, przyjmowana gościnnie przez II Korpus.

Po kilkudniowym pobycie w Sorokach, gdy Rumunja zawarła osobny pokój z Niemcami, — ci ostatni postawili warunek, że na terytorjum rumuńskim nie może pozostać żaden oddział wojsk koalicyjnych, a tem samem formacje polskie muszą opuścić Soroki, które leżąc na Bessarabji przypadły Rumunji.

Zmuszony koniecznością, musiał II. Korpus wraz z II Brygadą opuścić Soroki i przejść znów na lewy brzeg Dniestru, na terytorjum rosyjskie.

Pewnego dnia o świcie 2 pułk inżynieryjny pod dowództwem kapitana Górskiego przygotowawszy prowizoryczne promy i łodzie, przeprawia w ciągu dnia przez wezbrany i krą gęsto płynący Dniestr 8 pułków piechoty, pułk artylerji ciężkiej, pułk artylerji polowej, pułk ułanów z lekką baterją, liczne parki amunicyjne i składy intendenty. Wieczorem tegoż dnia kapitan Górski oddał Soroki oddziałowi armji rumuńskiej.

Późnym wieczorem znalazł cały Korpus i II. Brygada w Cekinówce, leżącej na stronie rosyjskiej, gotowe do marszu na wschód, z uwagi na wojska okupacyjne austro-niemieckie, posuwające się linjami kolejowymi włąb Ukrainy,

I rozpoczął się marsz w nieznane i niewiadome, w którym II. Brygada szła zawsze w przedniej straży.

Z Cekinówki ruszono przez Jankułów, Olszanke, starając się jaknajprędzej minąć linię kolejową Żmerinka-Odessa. W trzecim dniu po opuszczeniu Sorok, Korpus przekroczył wymienioną linię kolejową między stacjami Popieluchy i Rudnicą. Na stacji Popieluchy zobaczyliś-
osławionych „landsturmoków” austriackich, którzy już przedtem zajęli stację.

Już w drodze od Popieluch, zaczyna w II. Korpusie coś się psuć. Generał Stankiewicz i generał Glass ulegając podszeptom emisariuszy austriackich, pragnąc zakończyć wojnę, dążą do skierowania Korpusu w rejon okupacji austriackiej, skoncentrowania go w Winnicy i doprowadzenia do demobilizacji.

Większa część Korpusu niechce słyszeć o propo-
zycjach demobilizacyjnych. Generałów Stankiewicza i Glassa okrzyczano zdrajcami i zażądano marszu dal-
szego za Dniepr.

Rada naczelna Korpusu z pułkownikiem Bobic-
kim staje po stronie większości. Przychodzi do burzli-
wych narad wszystkich oficerów w cukrowni w Łudze,
położonej nad rzeką Sawranką w pobliżu Czeczelnika.

Na tem zebraniu powzięto uchwałę odsuwającą
generała Stankiewicza od dowództwa, powierzając je
Hallerowi, który objął je pod pseudonimem generała
Mazowieckiego.

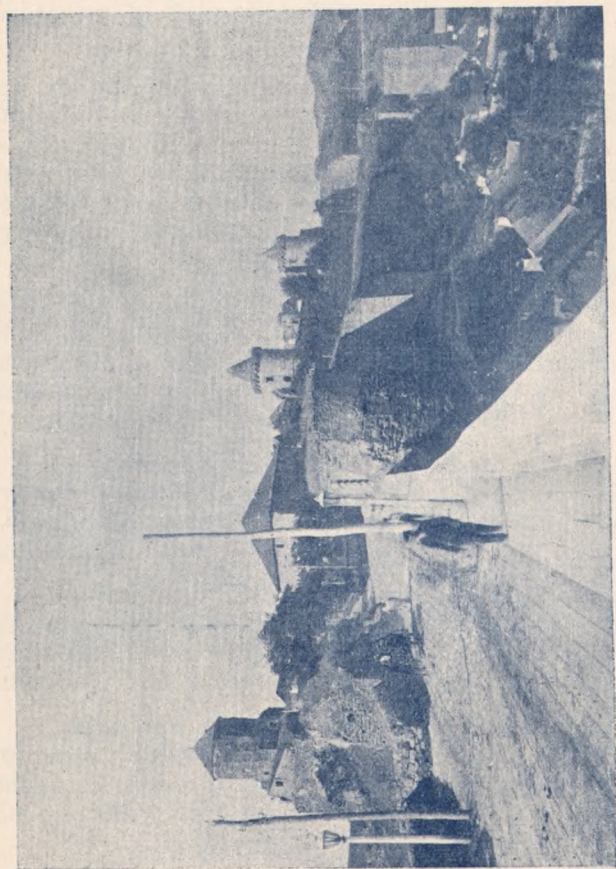
Po owem burzliwym zebraniu II. Brygada i II.
Korpus zdąża swoim szlakiem przez Werbkę do Cze-
czelnika, gdzie spijał garncami sławetne miody „imci
pan Zagłoba”.

W Czeczelniku i Olgopolu następuje reorganiza-
cja Korpusu. Generałowie Stankiewicz i Glass odchodzą



Krzyż Kaniowski

(Odznaka pamiątkowa bitwy pod Kaniowem).



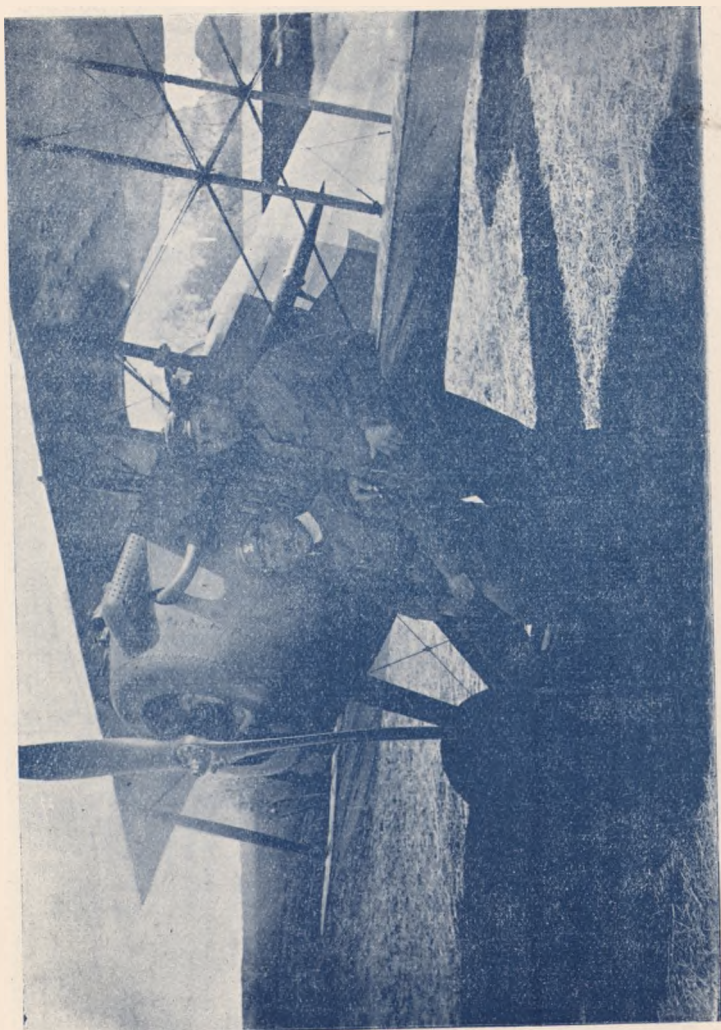
Kamieniec Podolski (Fragment twierdzy).



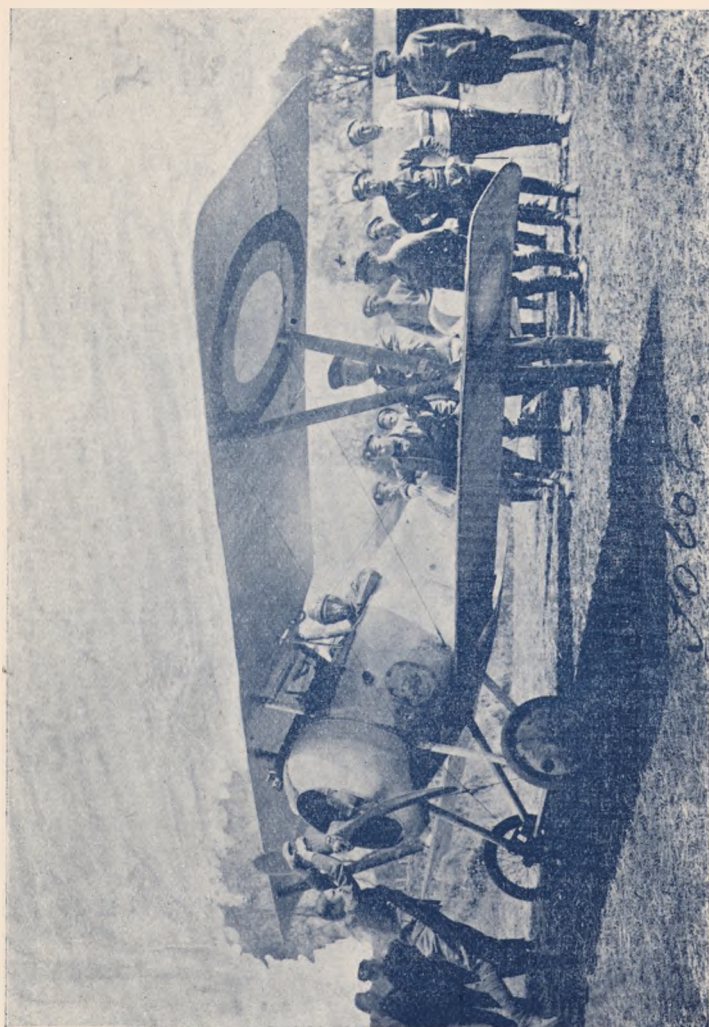
Zawiażki II. Korpusu z gener. Stankiewiczem w pośrodku.



Bojowy Oddział Lotniczy II. Korpusu.



Samolot „Spad“.



Samolot „Polot“



.Samolot „Nieuport“.



Obiad lotników pod Kaniowem.

z częścią oddziałów do pieleszy domowych. — Karpacka Brygada legjonowa zostaje rozdzielona równomiernie pomiędzy wszystkie oddziały Korpusu. Nastąpiły zmiany na stanowiskach poszczególnych dowództw, — zmniejszono tabor, — usprawniając w ten sposób stan bojowy Korpusu.

W tym czasie Haller dokonywa przeglądu poszczególnych oddziałów w obecności generała Osińskiego i prezesa Związku Wojskowych Polaków Raczkiewicza.

Z Czeczelnika już jako karna i zdyscyplinowana gromada maszeruje Korpus przez Żabokryczkę do Berszady niegdyś warownego gniazda kozackiego, skąd czynili wyprawy nawet na Turcję.

Po kilkudniowym pobycie w Berszadzie, gdzie dokonana została ostateczna reorganizacja Korpusu, pomaszerowano do Ujścia, a stąd po przekroczeniu rzeki Bohu w dniu 28 marca przez Hajworon, Szlachowa do Ternawki, następnie przez Jurkówkę do Humania¹⁾, który osiągnięto dnia 6 kwietnia.

W Humaniu zainicjował Haller konferencję z przedstawicielami społeczeństwa polskiego na Ukrainie, pragnąc pozyskać je dla sprawy polskiej. Konferencja speliła na niczem, bowiem owi panowie więcej dbali o swoje interesa jak o Polskę. Na konferencji postawili za warunek współdziałanie, odebranie od chłopów przez II. Korpus ich bydła i koni, przywrócenia im w posiadaniu majątków, jednym słowem chcieli widzieć w wojsku polskim „oddziały karne“, które miały rozpocząć z chłopstwem wojnę o pańskie majątki. Sprawę Polski traktowali jako rzecz podrzędną.

Haller odrzucił z miejsca te warunki oświadczając, że nie przyszedł na Ukrainę walczyć za sprawę interesów „pomieszczyków“, i że nie ma zamiaru wchodzić w konflikt już i tak z wrogo usposobionem do wojska polskiego chłopstwem.

¹⁾ Starożytne lecz nieszczęsne miasto, własność Potockich. W r. 1675 Kara Mustafa zdobywszy je, wyciął w pień kilkanaście tysięcy mieszkańców, zaś 19-VI 1768 r. Iwan Gonta i Żeliźniak rebeljanci hajdamacy zdobywszy podstępem miasto, wycięli 18 tysięcy mieszkańców, w tej liczbie 400 młodzieży szkolnej.

W dniu 7. IV. przy wspaniałej pogodzie cały Korpus przemaszerował przez miasto defiladą przy dźwiękach kilku orkiestr. Przez 5 godzin ciągnęły oddziały różnych broni z rozwiniętymi sztandarami, — zaś kolumny taborów z dwóch stron mijało miasto bocznie ulicami.

Od Humania Korpus zaczął się już posuwać trzema kolumnami. Główne siły szły w środkowej kolumnie i marszem ubezpieczonym.

W drugim dniu po opuszczeniu Humania przekroczo pod Krystynówką linię kolejową Wapniarka-Śmiła.

W dalszym marszu Korpus gotowy do odparcia każdego ataku, przeszedł przez Monasteryszcze, Sokółkę, Woronję, Winogrody, Żydowską groblę, Bojarkę, Medwin, Baranie pole i zatrzymał się dla nabrania oddechu w Koszowatej.

Po opuszczeniu Humania Korpus wszedł na teren bardzo wrogi. Zaczęły się tarcia z ludnością. Wolni kozacy zaczęli napadać na nasze oddziały i podburzać ludność przeciwko nam.

Dowództwo wszelkimi sposobami dążyło do złagodzenia tych tarć, a gdy wszelkie usiłowania w tym kierunku nie dały rezultatu, a natomiast połała się niewinna krew naszych ułanów, których ludność o ile sobie przypominam w Bałabanówce skrycie i w okrutny sposób zamordowała, — trzeba było dla przykładu ukarać rozwyrżone bandy chłopskie.

Bałabanówka drogo zapłaciła za mord dokonany na ułanach.

Poszedł kapitan Kruk-Szuster z bataljonem 2 p.p. otoczył wieś i wykonał egzekucję bezwzględną — lecz zasłużoną, która lotem błyskawicy obiegła całą Ukrainę i na pewien czas powstrzymała chłopstwo od dalszych mordów.

Po opuszczeniu Koszowatej czuliśmy wszyscy, że wchodzimy w rejon bardzo podminowany agitacją wroga wojsku polskiemu, — rejon w którym ludność pod-

burzana przez szpiegów niemieckich, przybierała postawę agresywną, — w rejon gdzie „buszowały“ już oddziały niemieckie, które tu i ówdzie przemykały się bokami, śledząc nasze poruszenia.

W Bogusławiu już zetknęliśmy się na ulicach miasta oko w oko z Niemcami. Odpocząwszy godzinę, wieczorem ruszył Korpus w dalszą drogę i w nocy znalazł się za rzeką Rosią

Na drugi dzień t. j. 17 kwietnia przekroczyliśmy w Mironówce tor kolejowy Fastów-Smiła, ostatnią i najważniejszą zaporę, oddzielającą Korpus od przeprawy na Dnieprze, gdzie spodziewano się nieuniknionego starcia z uwagi na to, że to był ostatni etap naszej wędrówki przed przekroczeniem Dniepru i że tę ostatnią linię obsadzili Niemcy silnie posterunkami wojskowymi.

Z chwilą gdy znaleźliśmy się na obszarze między linią kolejową Fastów-Smiła a Dnieprem, Niemcy zaczynają „robić ruch“. Pozornie rozpoczynają pertraktacje z Radą Regencyjną i generałem Osińskim, gwałtują o powstrzymanie Korpusu w dalszym marszu, — lecz to tylko pozornie. W rzeczywistości szykują się do orężnej rozprawy z Korpusem.

Powolna rozkazom pruskim Rada Regencyjna, wysłała do dowództwa Korpusu w dniu 21 kwietnia specjalny list podpisany przez Steczkowskiego następującej treści:

„Wyrażamy stanowcze życzenie, aby oddziały polskie pozostały w miejscu obecnego postoju i nie przedsiębrały żadnych środków, któreby w czemkolwiek przesądzały nasze późniejsze postanowienia“...

W dalszym ciągu listu, Rada Regencyjna żąda bezwarunkowego poddania się pod jej rozkazy, zezwalając „w łasce“ Korpusowi dążyć do... demobilizacji i rozbrojenia się.

Przesłany ten list nadszedł do Korpusu w dniu 30 kwietnia i wywołał oburzenie na potulną w stosunku do Niemiec Radę Regencyjną, która nieoficjalnie pozwoliła sobie nazwać II. Korpus „bandą bolszewików“.

Na skutek tego listu dowództwo Korpusu wysłało do Rady Regencyjnej majora Gniadego-Trzecieckiego z przedstawieniem faktycznego stanu rzeczy. Major Gniady nie uzyskawszy w Radzie Regencyjnej żadnego poparcia dla Korpusu, po wyjściu z gabinetu z rozpaczy odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.

W tym stanie rzeczy Korpus wchodzi w rejon Potoku, Kozina, Stepaniec i Maśłówki, przebywszy w krótkim czasie przeszło 300 klm.

Zaraz po zajęciu stanowisk, wybuchły zatargi z ludnością ukraińską, ofiarą których padł major Pruski z 5 pułku ułanów, zamordowany przez wolnych kozaków.

Dowództwo Korpusu śle posłów do generała Osińskiego do Kijowa i do generała Muśnickiego, a zarazem dąży do przedostania się za Dniepr.

Niemcy wysilają się, by nie dopuścić do przeprawy za Dniepr. W odpowiedzi na pertraktacje generała Osińskiego z rządem ukraińskim, a właściwie z ministrem Żukowskim, który wyznaczył rejon gubernji Czernichowskiej na postój dla II. Korpusu, — aresztują w Charkowie Żukowskiego, rozpędzają Dyrektorjat Rady Ukraińskiej i ogłaszają powolnego sobie Skoropadzkiego hetmanem Ukrainy.

Nie zważając na to, dowództwo Korpusu bezpośrednio po zajęciu terytorjum w rejonie Kaniowa nakazuje 2 pułkowi inżynieryjnemu przygotowanie przeprawy pod Kaniowem.

Kapitan Górski z kapitanem Hubertem i dwoma oficerami udaje się do Kaniowa, gdzie spotyka się z ukraińskim komendantem miasta i dowódcą oddziału niemieckiego.

Po zbadaniu przeprawy okazało się, że w Kaniowie istnieje stary most pontonowy dość sfatygowany, który wymaga reperacji. Kapitan Górski osądził, że po uskutecznieniu naprawy Korpus może w ciągu 24 godzin znaleźć się za Dnieprem.

Pozostawiwszy w Kaniowie porucz. inż. Gadowskiego i porucz. Stojowskiego z grupą żołnierzy, dla przygotowania robót wstępnych, Górski wrócił do Korpusu.

Po jego odjeździe dowódca oddziału niemieckiego w Kaniowie zaaresztował poruczników Gadomskiego, Stojowskiego i ich żołnierzy, odstawiając ich do Kijowa, skąd na interwencję Korpusu wypuszczono ich na wolność za kilka dni.

Pod naciskiem niewiedzieć jakich mocy, dowództwo Korpusu postanawia wstrzymać przeprawę za Dniepr, a tem samem i dalszy pochód.

Był to przykry początek tragicznie smutnego końca, a temsamem podpisanie wyroku, skazującego Korpus na zagładę.

Na skutki nie trzeba było długo czekać.

Marzenia nasze by przejść za Dniepr w Czerni-chowszczyznę, zebrania tam wszystkich formacji polskich i stworzenia z nich potężnej armji polskiej eksterytor-jalnej — rozwiały się jak bańka mydlana.

Na karcie historii Rady Regencyjnej została się czarna plama, której i wieki nie wymażą z dziejów historii polskiej.

VI.

Przed orężną rozprawą
z Niemcami.





d chwili połączenia się II Brygady Karpackiej Leg. Pol. z II Kurpusem Wojsk Polskich na Wschodzie, władze wojskowe niemieckie, rządzące się jak szare gęsi na Ukrainie czyniły wszystko, aby niedopuszczyć do przejścia Korpusu za Dniepr i dążyły do jego zlikwidowania.

Już w Humaniu zauważono, że oficerowie niemieccy skrzętnie liczyli siły Korpusu i jeszcze skrzętniej notowali cyfry, mówiące o jego liczebności i uzbrojeniu.

Pierwsza próba zatrzymania Korpusu w swem pochodzie miała miejsce w Mironówce.

Korpus posuwając się ku Dnieprowi trzema kolumnami, doszedł do linii kolejowej Fastów — Smiła. Przekroczenie tej linii, zagrażającej Korpusowi z uwagi na to, że znajdowała się w rękach niemieckiej okupacji, miało niezmiernie ważne znaczenie, bowiem otwierało drogę do przeprawy na Dnieprze pod Kaniowem.

Przy przekroczeniu toru kolejowego pod Mironówką, straż przednia Korpusu w dniu 12 kwietnia została zatrzymana przez tyraljery Niemców, rozrzucone po wzgórzach za stacją. Owe tyraljery składały się z sił garnizonu w Mironówce i z dwóch baonów piechoty, które na gwałt ściągnięto z Białej Cerkwi.

Dowództwo niemieckie wysyłało do gener. Hallera-Mazowieckiego parlamentarzy, którzy żądają zaprzestania dalszego pochodu Korpusu w imieniu dowódcy niemieckich sił zbrojnych na Ukrainie generała Einhorna.

W odpowiedzi na to, Haller wzywa kapitana Górskiego Artura, dowódcę 2 inżynierskiego pułku i nakazuje mu przejść z pułkiem przez Mironówkę za wszelką cenę.

Górski stawia na nogi swój pułk, do którego na ochotnika przyłącza się 80-letni pułk Bobich jako szeregowiec z karabinem w rękę i z pierońską brawurą wali przez Mironówkę.

Niemcy widząc postawę żołnierzy Górskiego, zbaranieli, — zapomnieli pociągnąć za cyngiel — ba! wychodzą nawet z okopów, by się cieleć oczyma pogapić na polskich żołnierzy.

Dowódca niemiecki prosi przez poruczn. Malinowskiego dowódcę pułku Górskiego o wstrzymanie pochodu na „ein Moment“, — bo on czeka na telefon z Kijowa, — lecz na tę propozycję „gwizdnął“ Górski i przy dźwiękach orkiestry pułkowej pod batutą kapitana Marciniaka przechodzi przez Mironówkę. Razem z pułkownikiem Arturem Górskim, ten „Teufelsregiment“, jak go Niemcy nazwali, prowadzili porucznik inż. Szymański, poruczn. inż. Sielużyczki, poruczn. Michałowski, kapit. Zajączkowski, poruczn. Ejzert, por. inż. Kossobucki, poruczn. inż. Gądomski, poruczn. inż. Rosman, poruczn. inż. Puchalski i kapit. Kolankowski.

Po tej „paradzie“ Korpus pomaszzerował do miejsc swego postoju.

W kilka dni po zakwaterowaniu się Korpusu — oddziały w Potoku zostały zaalarmowane i postawione na nogi. Oto od Mironówki ukazał się bataljon niemiecki, który bez poprzedniego zawiadomienia wkroczył w rejon Korpusu. Bataljon ten zatrzymano, jednak z rozkazu dowództwa Korpusu puszczono go. Pomaszzerował sobie najspokojniej do Kaniowa i obsadził most, którym miał Korpus zamiar przejść za Dniepr.

Zagrodziwszy Korpusowi drogę w Kaniowie przez usadowienie tam piechoty i skoncentrowanie większej liczby monitorów rzecznych na Dnieprze pod Kaniowem, zaczęli Niemcy ściągać siły ze wszystkich miejscowości Ukrainy, tworząc przeciwko Korpusowi armię operacyjną generała Zierholda z siedzibą w Mironówce.

Zadanie tej armji było widoczne i dla nas jasne. Niemcy zamknęli drogi w stronę Białej Cerkwi i Kijowa, zamknęli przeprawę pod Kaniowem, gromadząc znaczne siły na linii Tulińce—Makedony—Mikołajewka — Zelenki —Rosawa—Mironówka.

W dniu 1 maja Niemcy stawiają po raz pierwszy w Kijowie żądanie demobilizacji Korpusu i poddanie go pod rozkazy niemieckie. Naczelny dowódca Wojsk Polskich na Ukrainie generał Osiński odmawia żądaniu, a Niemców odsyła do Rady Regencyjnej w Warszawie.

W dniu 6 maja dowódca sił niemieckich von Zierhold wysłał swego adjutanta porucz. hr. Castellane z pułku „czarnych huzarów śmierci“ do Hallera, żądając w imieniu Hindenburga rozbrojenia Korpusu w przeciągu 24 godzin.

W odpowiedzi na to żądanie — Haller wydał natychmiast rozkaz, zarządzający ostre pogotowie, a chcąc zyskać na czasie, oświadczył wysłannikowi Zierholda, że ultimatum musi wysłać do generała Osińskiego do Kijowa.

Niemcy spostrzegłszy się, że Hallera nie mogą nastraszyć, w parę godzin później przeprosili za niepokój i oświadczyli iż ultimatum było pomyłką, spowodowaną błędnem odczytaniem depeszy generała Einhorna, — i że było przeznaczone dla Ukraińców.

To łajdackie wyjaśnienie było najpodlejszym manewrem zdradzieckim ze strony Niemców. Spowodowało ono uspienie czujności dowództwa Korpusu i zaskoczenie go w dniu 11 maja.

Niemieckie siły w dniu bitwy przedstawiały się następująco: 14 bataljonów piechoty każdy po 800 ludzi. Przy każdym baonie oddział karabinów maszynowych z 16 karabinami. Trzy pułki huzarów, — trzy baterje artylerji polowej. Rezerwy ściągnięte z Kijowa, Czerkas, Zwinogródki i Białej Cerkwi przybyłe w nocy przed napadem były bardzo liczne. Ogółem siły niemieckie obliczono na 24.000 ludzi.

Korpus Polski liczył 7500 ludzi, lecz w tem tylko niespełna 4000 bagnetów.

Na dzień 11-go maja na godz. 6 rano dowództwo Korpusu wyznaczyło ostre strzelanie ćwiczebne ciężkiej artylerji, o czem zawiadomiono Niemców.

Niemcy uważali to za prosty wybieg, mający na celu wprowadzenie ich w błąd, celem przeprawienia się Korpusu przez Dniepr — więc wykorzystali ciemną i burzliwą noc, uderzając koncentrycznie na wszystkie oddziały Korpusu, — z zamiarem zepchnięcia ich w kąt między Dnieprem a błotami nad Rosią i Irdyszem, no i zniesienia ich zupełnego.

Czy osiągli cel? — zobaczymy! ..

VII.

Bój pod Kaniowem.



Proporcem były im blizny i broń gotowa do strzału,
skrzydłami — miłość Ojczyzny — i w piersi ogień
zapału.



Było to 10-go maja 1918 r.

Dzień nadzwyczaj gorący i parny. Od dzikich pól i hen od Bohu powiał wiatr stepowy. Uganiając się po burzanach i oczeretach, przynosił tumany pyłu i kurzu, oraz zapowiedź burzy-huraganu.

Pod wieczór niebo zaciągnęły brązowe i czarne chmury.

Noc zapadła szybko. Zabłyły światelka po kwaterach, lecz żołnierz nie mogąc znaleźć w niskich chatach ukraińskich dość powietrza dla piersi, wyległ do sadow i na murawy przydomne.

Około godz. 22 zajaśniały nagle błyskawice. Huragan nadchodził. Zwały się na ziemię całe masy piorunów, — grzmotom nie było końca. Równocześnie otworzyły się upusty niebieskie, zalewając wszystko potopem. Burza straszna, prawdziwa stepowa, wspaniała jednak w widoku wzmagająca się z każdą chwilą, osiągała punkt kulminacyjny około północy.

Żołnierz zmęczony upałem, burzą i ciężkiem powietrzem, — po przejściu huraganu, zasnął snem kamiennym.

Zasnął, nie wiedząc co mu ranek zgotuje. Zasnął wolny, nie przeczuwając, że świt przyniesie mu krew, rany śmierć i niewolę.

Zasnął żołnierz w Potoku, Kozinie, Stepańcach i Masłówce. Czuwały tylko senne straże, rozrzucone wokół miejsc postoju, na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów.

Huragan i ulewę wykorzystała gadzina teutońska. Pod osłoną ciemnej nocy podsunęli się Niemcy pod nasze stanowiska przedostając się przez błota, tajemnymi ścieżkami, prowadzeni przez miejscowych przewodników i otaczając korpus na całym froncie od Mironówki do Tulinieć. O świtanu jarami i wondolami podeszły kolumny niemieckie pod placówki Korpusu.

O godzinie 4 rano dnia 11 maja 1918 r. nagle ryknęły armaty niemieckie od strony Zelenek i Kahorlika.

Buchnęły granaty i szrapnele przy akompaniamencie karabinów maszynowych, budząc ze snu głębokiego żołnierza. Szwadron 6 pułku ułanów zaskoczony w futorze Sałów alarmuje pierwszy sztab Korpusu o nпадzie niemieckim.

Główny atak szedł na Potok, gdzie kwaterował 15 pułk strzelców.

Grzmot armat zbudził nagle żołnierza we wszystkich wioskach, który w pierwszej chwili nie wiedząc co się dzieje, — wybiegał w białiznie z kwater, chcąc zbadać powód kanonady i strzelaniny.

I cóż zobaczyć?...

Wszędzie chmury żołdactwa pruskiego w stalowych hełmach, zaczęły się wynurzać ze wszystkich stron, wściekle palbą karabinów ręcznych i dziesiątkami maszynówek atakując.

Żołnierz II. Korpusu zrozumiał sytuację. Zrozumiał piekielnie obmyślaną zdradę gadziny krzyżackiej. Zrozumiał że tu idzie gra o być albo nie być, o życie lub śmierć. Zrozumiał, że na najpodlejszą zdradę, musi odpowiedzieć zemstą Jurandów ze Spychowa, — że za każde ostatnie tchnienie polskiego żołnierza, musi ująć z hardy germańskiej najmniej sto, — że za jedną kroplę krwi polskiej, — muszą wypłynąć wiadra krwi knechtów niemieckich, że za jedną śmierć żołnierza II. Korpusu, — musi zadać sto teutonom.

I nastał sądny dzień — jakich niewiele w dziejach oręża polskiego.

Straszny był on w Potoku, postoju V Dywizji i 15 p. strzelców.

Zrozpaczony żołnierz widząc swych śmiertelnych wrogów i zagrożony w owej wolności tak drogo okupionej pod Rarańczą, nie bacząc, że znajduje się zaledwie w bieliźnie, wybiega z domostw, rzuca się na masy germańców z pięścią, w nadziei, że je powstrzyma choć na chwilę, aż nadbiegną koledzy z dalszych osiedli.

Na rynku w Potoku rozpoczęła się okrutna walka, gdzie prócz gołych pięści zadających razy, — zęby odgryzały palce, nosy i policzki nieprzyjaciela. Żołnierz polski szalał.

Jakiś dziw i lęk ogarnął knechtów pruskich na widok porucznika Karpińskiego, podobnego wzrostem do Podbiپیęty, który puściwszy swe olbrzymie ręce jak skrzydła wiatraku w ruch, — rozbijał pięściami łby pruskich oficerów. Każde uderzenie jego prawicy, to śmierć jednego wroga. „Pracuje” tak dłuższy czas, aż do nadejścia pomocy. Porucznik Dżugaj roznosi straszne zniszczenie ciupagą góralską, — kapitan Rudka kawałkiem kołka, wyrwanego z płotu, chlasta na odlew po pyskach pruskich. Wokoło tej trójki, zbита masa krzyżactwa, pragnąca żywcem dostać szaleńców, — a oni straszni w swej odwadze, — pozostają nietknięci.

Ale rynek w Potoku zalewa coraz większa masa Niemców. Szaleńcy-bohaterzy cofają się, bo siły ich opuszczają.

Od strony dworu rozpętał się ogień kilkunastu karabinów maszynowych. Nasi zaczynają się cofać.

W tej chwili kapitan Śniadecki-Kwaciszewski zajeżdża galopem z karabinem maszynowym na wozie chłopskim. Nie bacząc, że rynek zalany literalnie knechtami, puszcza w szalonym tempie swoją maszynkę w ruch, kosząc z odległości kilkudziesięciu kroków plugawie krzyżactwo. W kilka chwil wali w pomoc porucz. Piwko i sypie gradem kul z maszynki. Z domostw sypie się nasz żołnierz z bagnetem, granatem w ręku. Jedno mgnienie oka, — w szeregi pruskie padają granaty ręczne, — wybuchają, rwiąc na szczępy ciała. Odzywają się i ręczne karabiny, lecz rzadko, bo walka toczy się zbliska.

Niemcy ścieląc gęsto trupem, zaczynają się chwiać pod wściekłym natarciem polskiego żołnierza,— lecz oto znów przychodzą im w pomoc dziesiątki karabinów maszynowych.

Lunęły ołowiem na garstki nasze i przygłuszyły straszne, złowróżbne „hura“ niemieckie, które rozległo się w okolicy budynku, gdzie mieścił się sztab V-ej Dywizji naszej.

Okrzyk zwiastował nam, że sztab z dowódcą dywizji Machcewiczem, dowódcą 15 p. podpułkownikiem Zajacem i dowódcą 16 pułku został zagarnięty i wzięty do niewoli.

Okropna wieść jak grom z jasnego nieba uderzyła w nas. Żołnierz zachwiał się i zmartwiał na moment. Ochłonawszy z przerażenia z wściekłością żbika, rzuca się na cmentarz prusactwa, by przebić się do swych dowódców i choćby za cenę własnego życia uwolnić ich.

Zakotłowało się w szeregach nieprzyjacielskich od uderzenia straceńców. Wzbił się pod niebo krzyk konających, jęk rannych. Bluznęła krew strumieniem, — ziemia ściele się trupem.

Od strony cerkwi, w szalonym pędzie nadbiega na ratunek „Legja oficerska“ składająca się z 85 oficerów. Już dopadli wroga, zwarli się z żywym murem krzyżactwa.

Zazgrzytały bagnety o kości, — tu i ówdzie pada strzał rewolwerowy, — bucha krew z przegryzionego gardła, — nóż lub scyzoryk rozpruwa brzuch knechta — trupy padają gęsto.

To tu, to tam konający głos krzyknie przeraźliwie „Herr Jesus“ — jeszcze chwila — jeszcze jeden rozdzierający krzyk bóleści — jeszcze jeden wykrzyknik „Matko Boska“ — i nagle cisza zalega plac przed budynkiem sztabu... Dowódcy uwolnieni, odbici... za cenę wału trupów niemieckich, wśród których jest wielu oficerów i kilkunastu z „Legji oficerskiej“.

Zmiażdżony wróg widząc takie bohaterstwo, cofnął się z zabobonnym lękiem za domostwa, by nabrać tchu, sprawdzić szyki i rozpocząć atak na nowo.

Nasz żołnierz widząc przewagę nieprzyjaciela, wycofuje się z rynku na otwarty step. Tymczasem od cerkwi zachodzą drogę nowe bataljony niemieckie, a równocześnie dziesiątki karabinów maszynowych z pozycji od dworu zasypują północną część rynku lawą ołowiu, odcinając nam drogę.

Kryjemy się za parkanami, przypadamy do ziemi — gotując się do skoku.

Ktoś tam poirytowany, grzmi tubalnym głosem:

— Bodaj ich najjaśniejsze drzwi od prewetu zatrzasy!... do ciężkiej cholery, nawet śniadania sfrygać nie dali!... o głodnym żołądku trzeba się charatać!.. niech to nagła krew zaleje!...

Inny kalkuluje głośno:

— Józik!... ta jojl!... nastaw gały!.. Bih me!.. ta jojl!... ta tu kura nie przejdzie!.. batjary! pluja fest...

Na tę kalkulację Józik, ze złości reaguje:

— Do stu piorunów! stuł pysk!... jak ci fajfendeklu zęby miłe...

Na to kalkulator odgryza się:

— Józik kochanie!... ta jojl!... ta tu nie Zamarstynów!... nie rób z taty warjaty, a z mamy klarnetu!... ta jojl!... Ot co!...

W tej chwili nieustraszony podpułkownik Zając, uwolniony z paszczy germańskiej, przybiega do nas i daje rozkaz:

— Chłopcyl w pojedynek za mną biegiem w stronę wiatraków na step.

I pierwszy rzuca się w grad kul.

Dech zamarł nam w piersiach. Byliśmy pewni, że pod tą ulewą ołowiu nie ostanie się cały. A jednak wyszedł z biegu nie tknięty. Już dopadł wiatraków, już przepadł w burzanach.

Odetchnął żołnierz z ulgą.

Zrywają się grupki, — pędzą biegiem przez rynek, przez pole śmierci.

Przelecieli i oni nie tknięci.

Niemcy potrają ogień z maszynówek. Nieodstrasza to jednak polskiego żołnierza.

Porucznik Karpiński podrywa się z ziemi i na długich swych nogach sady przez plac.

Śledzimy z zapartym oddechem ten wyścig jego ze śmiercią, wśród gradu kul.

W tem przeszywa powietrze ostry krzyk:

— Rany Boskie! porucznik padł!...

Przecieramy gwałtownie ślepiska i spostrzegamy, że Karpiński leży rozciągnięty na ziemi, w pobliżu wiatraków. Żal ścisnął serce, bo padł dobry kolega i przyjaciel żołnierza.

Na parę chwil osłabł ogień niemiecki, jakby z tryumfu, że tysiące wypuszczonych kul, uśmierciło jednego legionistę.

A tu na miły Bóg, oczom wierzyć się nie chce. Uśmiercony Karpiński zrywa się zdrów i cały — i dyma w oczerety. Zanim maszynki niemieckie otrzeźwiały, — on już znikł w burzanach.

W tym momencie zrywa się wiara i linją żurawią pod gradem kul wyrывa w stronę stepu.

Wyszła z ognia trochę osmalona i poszczerbiona.

Jakiś legun co dla nabrania oddechu przykucnął za wiatrakiem, ściągnąwszy portki — wystawił Niemcom goły zadek na pożegnanie.

W tej chwili przemówiły nasze armaty od Maśłówki i Stepaniec, siejąc żelazem po Niemcach.

Walki w Potoku, które przypawiły Niemców o około 2000 strat w ludziach (zgórą 1000 zabitych) załamały chwilowo ich atak i pozwoliły wycofać się oddziałom naszym za rzekę Rossawę.

Równocześnie z atakiem na Potok, uderzyli Niemcy na Kozin, gdzie przy grobli wiodącej przez bagnistą Rossawę rozegrała się rozpaczliwa bitwa.

Niemcy po wzięciu do niewoli szwadron w Kobilewie otoczyli IV Dywizję. Wywiązała się straszliwa walka i to przeważnie na bagnety. Dywizja cofając się, oddała osłonę kompanii strzelców kapitana Rudolfa Brandysa. Kompanja owa w pewnej chwili została osaczona przez masy Niemców uzbrojonych w karabiny maszynowe.

Brandys widząc sytuację bez wyjścia, rzuca się z kompanją do ataku na bagnety — rozbija w puch Niemców znajdujących się po prawej stronie drogi — odbiera im broń i karabiny maszynowe, które natychmiast zwraca na wroga.

I oto nastąpiło to, co barbarzyńscy Niemcy często stosowali. Grupa atakująca z lewej strony drogi, otwiera morderczy ogień maszynówek na swoich, — wycina ich w pień i atakuje kompanję Brandysa. Zawrzała okrutna walka, w której kompanja Brandysa prawie że cała poległa, zaś jego samego ciężko rannego, dobili Niemcy, zadając mu kilkadziesiąt ran szerokim bagnetem w piersi i brzuch.

W tym samym czasie Niemcy atakują wściekle 5 pułk ułanów i konną baterję artylerji, oraz pułk inżynieryjny w Stepańcach. Stało się to tak nagle, że nie było czasu na obronę. Ułani zostali odcięci od swych koni, zaś armaty dostały się w ręce niemieckie. Kapitan Górski alarmuje kompanję pułku inżynieryjnego i rzuca je w bój w kilka minut. Zawrzała zacięta walka. Niemcy dostali lanie, zostali odrzuceni, — baterję odebrano, — ułani dopadli koni. W zażartym boju został ciężko ranny porucznik 2 kompanji Borowiak.

Dzięki postawie i dzielności pułku inżynieryjnego, uratowany został tabor intendentury i park artylerji.

Po zdobyciu grobli w Kozinie, — pozostałą jedyną drogą, jaką była grobla pod Masłówką wycofał się sztab Korpusu na drugi brzeg Rossawy. Równocześnie Haller wydaje rozkaz:

— Korpus koncentruje się na linii Jamczycha-Masłówka. Po skoncentrowaniu się całej piechoty, Korpus zaatakuję stację Tagańczę i będzie się starał przebić na Bogusław-Medwin. Pułk inżynieryjny za wszelką

cenę wstrzyma napór nieprzyjaciela od strony Stepaniec, a potem wycofa się na Jamczychę, ubezpieczając się od strony Kopjowatej.

Rozkaz powyższy był podyktowany tem, że od strony Mezericza, Targańczy atak niemiecki był znacznie słabszy.

Po wycofaniu się oddziałów Korpusu na pozycje w Jamczysze, front nasz przedstawiał się w formie nieumiarowego czworoboku. Bok wzdłuż jaru Jamczychy obsadził 13 i 14 pułk strzelców, — drugi bok stanowiła rzeka Rossawa, — trzeci bok biegnący wzdłuż drogi Masłówka-Stepańce trzymał 15 pułk, — czwarty bok od Stepaniec do Jamczychy bronił pułk inżynierski, oraz 3 i 5 pułk ułanów. W pośrodku tego warownego obozu umieściły się ze sztabem Korpusu 5 baterji polowych i 2 baterje ciężkie, oraz tabory, parki amunicyjne. Brakło tylko tych oddziałów co zostały zagarnięte przez Niemców, a między niemi dyon lotniczy z czterema aparatami, które dostały się w ręce niemieckie tylko dlatego, że z powodu ulewy nie mogły wystartować.

Przez cały dzień Niemcy atakowali obóz Korpusu. Każdy atak odpierano z brawurą. Żołnierz nasz trzymał się świetnie, szedł w bój z entuzjazmem, — był rozżarty na Niemców za zdradziecki sztych w plecy i za poległych towarzyszy broni pod Potokiem i Kozinem.

Pod wieczór była taka sytuacja, że Niemcy zaczęli się wahać i obawiać się przeciwuderzenia Korpusu, który posiadając silną kawalerję i przewagę w artylerji, mógł Niemców w puch rozbić i przebić się w obranym kierunku.

Że taki zamiar zaistniał początkowo, to świadczy rozkaz dowództwa Korpusu treści następującej:

— Pułk inżynierski jako grupa uderzeniowa, przygotowuje się do przerwania pierścienia niemieckiego pod Targańczą, — rozkazów do akcji i ataku oczekiwać nad ranem.

Sytuacja Korpusu jeszcze o tyle się poprawiła, że między ludnością ukraińską, która dotychczas zajmowała wobec oddziałów polskich stanowisko nieprzychylnie, po-

sądząc nas o współdziałanie z Niemcami, w czasie bitwy zmieniła przekonanie, widząc że walczymy z tymi, których i ona śmiertelnie nienawidzi za bezlitosne rekwizycje.

Gdyby zamiar przebicia się przez pierścień niemiecki dowództwo Korpusu zamieniło w czyn, akcja byłaby się niezawodnie udała, bo żołnierz był gotowy do skoku — do największych i najcięższych ofiar.

Niestety! — nie doszło do tego. W nocy z 11 na 12 maja dowództwo Korpusu zadecydowało, że z powodu braku amunicji szkoda dalszego rozlewu krwi i tak postawiło sprawę na odprawie.

Po południu zaczął słabnąć ogień, — wreszcie zamilkł zupełnie około godz 17.

Na zegarze dziejowym II. Korpusu zaczęła bić ostatnia godzina.

Żołnierzom serce rwało się w strzępy z bólu. gdy dowiedział się o wysłanych do Niemców parlamentarzystach w osobach majora Szyllinga i kapitana Linowskiego.

I nastąpiła okropna chwila.

Nie jeden wołał śmierć niż niewolę, — ostatni nabój kierował do siebie. W innych miejscach rozgrywały się okropne sceny. Garstka żołnierzy, mając tylko goły bagnet w ręce, rzuca się na masy żołdactwa niemieckiego, — a siejąc okrutną rzeź, — starała się przebić na tyły, lub zginąć.

— Umilkły nasze armaty! Z ostatnim wystrzałem wydały jęk — jakby błagały o ratunek. Z ich jękiem złączył się i jęk artylerzysty. Skamieniało mu serce z bólu, zgrzytnął zębami, popatrzył łzawym wzrokiem na swe faworytki, — długo się namyślał, — wreszcie wśród łkania, roztrzaskał zamki.

W oddziałach piechoty żołnierz nie chciał nawet słyszeć o zaprzestaniu walki i złożeniu broni.

Jednak tragedia zbliżała się ku końcowi szybkim tempem.

Jeszcze padł tu i ówdzie strzał — poderwał się ostatni jęk, — przysięga przy rozwiniętych sztandarach na wierność Ojczyźnie, — ostatni rozkaz, — ostatnie słowo, — palenie akt pułkowych i drzewca sztandarów, — krajanie samych sztandarów i obdzielanie częstkami żołnierzy, jeszcze jeden jęk, — jeden szloch, — łkanie, — potem cisza, — okrutna cisza, — i zamarło wszystko!

Nagle zrywa się huraganem:

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród,
. . . tak nam dopomóż Bóg.

Obok stoją już niemieccy żołnierze z „pułku husarów śmierci“, — po marsowych ich twarzach ciekłą ciureczkiem łzy.

Rozłogi Kaniowa zaległa grobowa cisza.

Tylko wysoko pod obłokami widać było stada jastrzębi i czarnego ptactwa, — słyszało się szum ich skrzydeł, — zniżały się ku ziemi czując żer dla siebie.

Do kurhanów Korsunia, Bogusławia, Pohrebyszcz i Humania, — przybył nowy. — Kaniowa, w którym spoczęło snem wiecznym przeszło 200 żołnierzy II-go Korpusu.

Spełniło się proroctwo Wernyhory... W bliskości mogiły Perepiatychy, żołnierz polski stoczył boj krwawy, świadcząc tem samem, że:

Polska żyje — że nie zginęła

VIII.

Na ścieżkach tułacznych.

(Fragmenty).



Kaniów . . . to podniebne loty białych orłów, co zmuszono barbarzyństwem i zdradą krzyżacką w poszumie wichrów poszybować wdał, by na obcej i nieprzyjaznej ziemi szukać nowych gniazd lub . . . śmierci.

Kaniów . . . to krwawy fragment wichury dziejów, męczeńskie ślady wydeptanej w glinie i prochu ziemie ścieżki, których i wieki zatrzeć nie zdołają.

Kaniów . . . to grom rzeźbiący spżżowe memento, echa surm bojowych z pod Grunwaldu, skrzykujące ostatnie szeregi szaleńców-żołnierzy na ratunek ojczystego porporca.

Kaniów . . . to pamięć straszliwej daty, tragicznego dnia, a zarazem wieniec z nieśmiertelnego wawrzynu na skroniach legionisty, na skroniach żołnierza polskiego, co oszalały miłością do Polski, o głodzie i chłódzie, bosi i obdarty, prawie że bezbronny, biegł na obce rubieże rozwijać sztandar Orła Białego.

Kurhany Kaniowskie . . . to rapsod bojów brygad legionowych, powstały z najcenniejszych skarbów duszy polskiej i tworzący pierwszego żołnierza polskiego wówczas, gdy Państwa Polskiego jeszcze nie było.

Pobojowiska Kaniowskie . . . to ostateczny cios koncepcji rozwiązania kwestji polskiej w oparciu o państwa centralne, to widomy znak idei niepodległościowej Komendanta Piłsudskiego, nieuznający żadnych kompromisów.

Mogilne krzyże Kaniowa ... to dalszy ciąg Ben-
jaminowa, Szczypiorna i Magdeburga — dziedzictwa I.
Brygady, które w spuściźnie przejęła jej siostrzyca —
Karpacka, to szaleńcze:

na stos — na stos —
rzuciliśmy
nasz życia los...

— — — — —
Zamknęła się ostatnia karta księgi dziejów II. Żelaznej
Brygady Karpackiej złączonej z II. Korpusem Wojsk
Polskich na Wschodzie, zapisana krwią legionisty i żoł-
nierza polskiego, — a rozpoczęły się pisać nowe karty
życia tułaczego, więzień, nieludzkich tortur, i rozstrze-
liwań, — drogi krzyżowej bagien i tundr Wołogdy i Mur-
mania, — golgoty Donu, Kubania i Sybiru.

— — — — —
Poszedł na tułaczkę i poniewierkę żołnierską
Haller.

Nie dostały go łapy niemieckie, które wyzna-
czyły za jego głowę 10.000 rubli. Poszedł w prze-
braniu wraz z pułkownikiem Eberhardem. Poszedł na
Bogusław, — odpoczął umieszczonego proboszczaa później u
pp. Hulanickich, — aby następnie przez Kijów, Moskwę
i Murmań znaleźć się we Francji.

Za nim poszli na tułaczkę: podpułkownik Ży-
mierski, podpułkownik Zając i major Orlik-Łukowski —
porucz. Sławek Szul Skjöldkrona do Archangielska, rot-
mistrz Józef Mączka na Kubań, major Czuma na Syberję,
by zbierać rozpruszone zbrojne siły polskie.

Rozbiegli się po bezkresach Ukrainy przed i za-
dnieprzańskiej major Skorobohaty-Jakubowski, major
Pytel, porucznik Bartak, porucznik Dżugaj i wielu, wielu
innych z II. Brygady.

Poszli również oficerowie II. Korpusu: Bobicki,
Dowojno-Sołohub, Zieliński, Rumsza, Machcewicz, So-

chaczewski, Gomulicki, Górski, Skokowski, Altfater, Kowalewski i tylu innych, — aby w innych warunkach i w innych miejscach skupiać żołnierza polskiego, tkać sztandary przyszłej armii polskiej — okuwać drzewce pod proporzec żołnierski. które na dany zew przez Wodza-Komendanta miały się zbiedz do Niepodległej i bronić Jej granic.

Suną stepem, w otoczeniu bagnatów i hełmów pruskich czcerniały w krwawym boju kaniowskim długie szeregi żołnierzy polskich w stronę Tagańczy.

Suną w mgle porannej dzikich pól, otoczone „hustarami śmierci“ ostatniego cesarza Niemiec, przemoczone śmiertelnie orężem zmaganiem się pod Kaniowem przedługie kolumny żołnierza polskiego na stację w Mironówce.

Pomykają chyłkiem burzanami i oczeretami pojedynczo i małemi grupkami legjoniści i polscy żołnierze w stronę Rzycczewa Białej Cerkwi, Czerkas i Taraszczy.

Idą w niewolę pierwsi i drudzy — idą do obozów internowanych — za druty kolczaste, — na sąd, głód i poniewierkę.

Ci trzeci... czy ujdą szpon krzyżackich... czy uniosą życie... czy znajdą się kiedyś w Ojczyźnie???...

W Mironówce stoi długa kolumna wziętych przez pruskie wojska żołnierzy polskich — 800 szeregowych — 60 oficerów. Wszyscy milczą, skamieniały w swej boleści, ale hardzi dumą. Kolumnę około otacza las bagnatów i stalowych hełmów pruskich.

W czasie długiego postoju, zjawiają się jakieś dziwne postacie kobiece, — o twarzach znamionujących młodość i inteligencję. Ubrane po ukraińsku, w wieśniacze stroje, z chusteczkami na głowach — niosą w koszykach chleb, bułki, kiełbasę i t. p. rzeczy. Niektóre z nich obdarte, — w buciarach zabłoconych na nogach — mówią po rosyjsku i ukraińsku i jakoś bardzo podejrzanie i krzykliwie zachwalają swój towar. Żołnierze wygłodzeni trzechdniowym postem rzucają się do ko-

szyków po zakupy. Kobiety ociągają się z handlem, — gdzieś i czegoś wypatrują, wodząc oczami wokół.

Stoję na uboczu i obserwuję je. Widzę jedną. Sprzedała bułkę podoficerowi i coś mu szepce. Przyjęła pieniądze. W tym czasie podchodzi żołnierz, kupuje kawał kielbasy. Chce płacić... kobieta nie przyjmuje... znów coś szepce... i oddaje żołnierzowi pieniądze wzięte od podoficera.

Szło tak dość długo. Ile razy żołnierz się zbliżył, a opodal sterczał prusak, kobieta brała pieniądze lecz po to, aby je innemu oddać... później.

Z ciekawości co ona tak szepce, podszedłem i ja do zamazanej kobieciny. Nie umiając po rosyjsku, mówię po polsku.

— Proszę o jedną bułkę.

Rozbłyły kobiecie oczy jakimś dziwnym blaskiem... schyla głowę do kosza... przewraca w bułkach... znalazła jedną, a dając mi, szepce najczystsą polszczyzną:

— Proszę jeść ostrożnie!... wewnątrz karteczka... na niej adres... jak pan legjonista, trzeba uciekać!... Niemcy na was polują... szubienica... powiedz pan innym... niech przychodzą po bułki do nas wszystkich.

Zapłaty za bułkę nie wzięła...

Odszedłem na stronę... siadłem na ziemi... drobnie bardzo ostrożnie bułkę w palcach... znalazłem karteczkę wielkości może czterech centymetrów kwadratowych, złożoną w czworo... Oczom nie wierzę!... czytam raz i drugi... pięknym pismem, drobnutkiem jak maczek, wypisany adres: „Biała Cerkiew, ul. Gołubina № 11”...

Ślipiska mi czemś rozmazanem zachodzą z rozczulenia... przecieram je brudnym łapskiem, a z nich coś cholera cieknie i niechce przestać.

Wściekły na siebie wymyślam sobie w duchu:

— Zamazana ofermo... zgniły głąbie... szufeco leguńska... idźże do kolegów i czyń co ci kazano.

Poszedłem w tłum, szukam kobieciny aby jej podziękować. Gdy ją odnalazłem, wzrokiem zabroniła zbliżyć się.

Ruszyłem do kolegów, oznajmiając im o „odkryciu”. Poszli nie spiesząc się. I oni dostali bułki z adresami. .

Owemi „przekupkami“ były nasze Polki uczennice i słuchaczki różnych zakładów naukowych w Kijowie.

Bezimienne bohaterki!

W Mironówce stoi długa owczarnia dworska... w niej 800 żołnierzy polskich, pod strażą germańską. Za owczarnią olbrzymi łąn falującego zboża. Przez trzy wieczory padają dość często strzały karabinowe. To wartownicy strzelają do wymykających się legionistów z owczarni. Zabili trzech... inni „zwiali”. Na czwarty dzień od strony zboża, ustawiono żywą ścianę z ciałami pruskich knechtów.

W szkole w Mironówce zamkniętych 60 oficerów... leżą na podłodze gołej, jak bydło... Trzeci dzień cierpią głód... bo Niemcy nie mają dla nich pożywienia.

Co rano i wieczorem stają do policzenia. Lustrację przeprowadza pękaty, niski „oberleutnant“ w brylach na drapieżnym nosie.

Major Skorobohaty - Jakubowski mówi do mnie:

— Trzeba kolegom pomódz!... Niebezpieczny to eksperyment, ale innej rady niema... mówisz po niemiecku... wal porucznikowi lustrującemu prawdę... przedstaw nieludzkie postępowanie.

Nie w smak mi to było, bo dnia poprzedniego gdy „oberleutnant“ pytał kto umie po niemiecku, nikt się nie zgłosił. Przypuszczaliśmy, że po tej „umiejętności“ chcą wyłowić legionistów poddanych austriackich. Jednak argumenty Jakubowskiego były mocniejsze nad „wspęg“ własną.

Przy raporcie popołudniowym „wyrąbałem” germańcowi wszystko, co ja i koledzy mieliśmy na wątrobie. Uśmiechnął się chytrze i oznajmił, że muszę z nim iść do komendy brygady i takie samo zażalenie złożyć.

Poszedłem... Idąc myślałem sobie: świrczku, świrczku! — złapali cię... umarłeś w butach, gorzej jak w szpitalu na parczy... ale było — nie było!

W brygadzie niemieckiej „wygarnąłem” jak się patrzy. Pytali o legionistów... nie ma ich... padła odpowiedź... Rezultat raportu był taki, że na drugi dzień germańskie bydłaki dali nam ciepłej kawy i po kawałku chleba... i zdwoili warty.

Na torze kolejowym w Mironówce stoi na ślepych torze długi jak wąż pociąg towarowy. Wyprowadzają z owczarni żołnierzy... ładują do wagonów. Za chwilę wyprowadzają oficerów i także ładują, rozdzielając ich po wagonach. W pierwszym wagonie za maszyną oddział prusaków z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi... w ostatnim wagonie taka sama obsada. Pod stacją stoi bataljon szturmowy z bronią u nogi... koło wagonów gęste straże.. pociąg z jeńcami ma odjechać za dwie godziny.

Nie odjechał...

Przed odjazdem kolejarze zaczęli gwałtownie przetaczać wagony. O 11-ej godzinie — tory zawałone w obie strony... pociąg z jeńcami zablokowany... obsługa kolejowa znika.

Germanicy wściekają się i pienią... posądzają obsługę stacji o sabotaż i o sprzyjanie żołnierzom polskim.

Tak rzeczywiście było. Ukraińcy przekonawszy się, że german to nasz i ich wróg, zmienili front.

Do godziny 16-ej nie uświadczyl nikt kolejarza. Warty pruskie znurzone, zaczynając drzeć... leguni chyłkiem „wieją” z wagonów.

Po godzinie 16-ej spostrzegam jednego kolejarza przechodzącego obok. Patrząc i oczom nie wierząc... to

przebrany major Jakubowski. Podszedł do mego wagonu i niespostrzeżenie mówi do mnie:

— Trzymaj cholero fason... przysłę po ciebie...

O godzinie 17-ej zjawiają się kolejarze... zaczyna się przetaczanie wagonów... krzyk, huk, gwizdy, piekło... najeżdżanie na warty pruskie. Powoli tory się opróżniają.

Po wagonach naszych poprzez warty łążą kolejarze z koszykami, chcąc kupować różne części mundurów i bielizny.

Czterech weszło do mego wagonu... w kącie wyrzucili z koszyka mundur palacza... przebrali człeka... zrobili z niego smarowozą i wyprowadzili. Za chwilę siedziałem w budce kolejarza obok majora Jakubowskiego. Siedziałem wolny... zdala od pruskich wart.

A kolejarze wyprowadzają innych. Spostrzegli to germańcy... odpędzili kolejarzy... wagony zamknęli i zaplombowali.

O godzinie 19-ej ostatni pociąg z żołnierzami II. Korpusu odjechał z Mironówki.

— — — — —

Po lasach wzdłuż toru kolejowego w stronę Białej Cerkwi przebiegają chłopcy po dwóch lub trzech. W dziurkach od guzików przy bluzach tkwią białe kwiatki. To wysłańcy P. O. W. i Polskiego Komitetu... Skwapliwie obserwują każdego spotkanego. Mają oczy dobre, — nie przepuszczą żadnego żołnierza polskiego, co z pod Kaniowa czy z Mironówki „wieje“ lasem i stepem. Zorganizowani doskonale. Gromadzą grupki na ustroniu i odstawiają do Białej Cerkwi i Skwiry.

Bezimienni skauci — bohaterzy!

— — — — —

Dzień świąteczny... wczesny ranek...

Od stacji w Białej Cerkwi, zdążają ku miastu, jacyś mężczyźni strasznie zmizerowani, okrutnie zmę-

czeniu... twarze zapadłe, zczerniałe. Idą w grupkach po dwóch... jacyś skupieni... milczący... rzucający bacznie okiem na lewo i prawo.

Ulice miasta o tej porze puste jeszcze.

Grupki przyspieszają kroku... mijają bramę wjazdową pałacu Branickich, w której czernieją wyloty dwóch dział i kilku karabinów maszynowych... mijają warty pruskie, pełniące straż koło komendantury niemieckiej. Strażnicy przeszywają wzrokiem jakby sztyletami przechodzących... mają zamiar „haltować” ich... lecz ci już daleko ..

Z pod cerkwi podbiega chłopczyk z białym kwiatkiem w górnej kieszonce bluzy skautowskiej. Śwista sobie, podskakuje i wywija trzcinką. Przebiega koło pierwszej grupki... i śpiewającym lecz przyciszonym głosem mówi:

— Idę na ulicę Gołubina jedenaście...

Rzekłszy to, puszcza się jak strzała na ukos przez olbrzymi plac-rynek, by nagle przystanąć na rogu ulicy najbliższej.

Idących w pierwszej grupie ogarnia zdumienie... idą za malcem, który znów pobiegł pędem naprzód.

Przystanął... oparł się o słup parkanu... oczy mu błyszczą radośnie... urwis uśmiecha się do nadchodzących, którzy ze zdumieniem odczytują nazwę ulicy:

— Gołubina № 11...

Przybysze wchodzą w podwórze... urwis-skaucik znów jak strzała pędem pobiegł w stronę miasta... po innych..

Nieznany przewodnik bohater!

Grupa mężczyzn puka do drzwi wejściowych. Długa cisza... wreszcie ktoś pyta, nie otwierając drzwi:

— Kto jest? czego chcecie?

Oficerowie polscy, pada cicha odpowiedź.

Z za drzwi wściekły głos ryczy:

—Wynoście mi się psie syny... znamy was dobrze...
psiakrew oficerzy... włóczykije kaprawe... czort z wami...
won parszywce... ludziom spokoju nie dają!

Słychać za drzwiami człapanie, ktoś odchodzi.

Po pewnej chwili, jeden z grupki znów puka.
Znów ktoś wychodzi i pyta:

— Kto? i czego?

— My z pod Kaniowa... Niemcom z Mironów-
ki uciekli.

Szczęknięły rygle... uchylają się drzwi... w szpa-
rze ukazuje się twarz starszej kobiety. Spoglądnęła na
grupkę okiem znawcy... otworzyła prędko drzwi mówiąc:

— Wchodźcie panowie!...

Dwóch mężczyzn weszło. Znaleźli się w ciem-
nym pokoju... prowadzi ich kobieta. Mężczyźni stawia-
ją kroki po omacku... na coś wdepnęli.

Pada głos skądś z podłogi.

— Cholerskie gamonie, ofermi... uważajcie na
moje gnaty sfatygowane...

Za chwilę znów dwaj goście na coś nadepnęli.
Wściekły głos syczy:

— Żeby wam kikuty uschły... psiakrewskie ku-
kły... moje nieszczęsne pedały... tłuką się po nocy jak
Marek w piekle.

Otwierają się drzwi... snop światła rozjaśnia
ciemny pokój, na podłodze którego leżą pokotem...
leguny... może ze 20 sztuk.

Przed przybyłymi staje mężczyzna. Nazywam się
Strzelecki, (naturalnie pseudonim).

Następuje indagacja krótka, — po której gospo-
darz domu komuś w ciemnym pokoju wydaje dyspozycje:

— Dwóch oficerów z Brygady!... Dawać wodę,
mydło... brzytwy... bieliznę... potem śniadanie.

Następnie zwraca się do przybyłych i mówi:

— Obywatele trochę pyski zmienicie... zjecie śniadanie... i pójdziecie na wyznaczone kwatery.

Przybywały grupki za grupkami... i odchodziły na kwatery do Karońskich, Grabowskich, Rechanów, Sokółowskich, Sadowskich, Korsaków, Stokowskich, Zubków Rytłów, Popławskich, Cugowskich, Wachowiczów, Modzelewskich, Jaźwińskich i wielu wielu innych, — a od nich w szeroki świat na Murmań do Archangielska, na Don i Kubań, na Syberję i Kaukaz, do Odessy, do oddziałów P. O. W., spełniać dalej powinność żołnierską i zbierać strzep po strzepie szaty Ojczyzny, rozdarte szponami zaborców, by na zew Wodza Komendanta znieść je kiedyś do serca Niepodległej Polski i utkać z nich wspaniały

Sztandar Wolności.

IX.

W podziemiach Ukrainy.

(Fragmentsy).



P

o miastach i wioskach Ukrainy, po stepach i burzaczach przewalają się pijane wolnością i samogonką watachy rebeljantów, ziejące niszczycielską nienawiścią do Łachów i burżujów.

Po bezkresach Ukrainy płyną echa rozbojów i mordów, szaleją pożary, dymią pogorzeliska odwiecznych dworów polskich.

Wśród tego potoku zbrodni i ognia, pomykają drogami i ścieżkami, omijając obluźgane krwią bandy ukraińskich chłopów, jacyś dziwni ludzie. Twarze ich zczerniałe, wynędzniałe... zdradzające jednak niezwykłą siłę ducha i woli. Odziani w łachmany... w ruchach znamionują tych, co łachmanów nie znali... ludzie świadomi celu, do którego dążą.

Cóż to za jedni?... jakie ich imię?...

— Nieznani!... legjoniści!... żołnierze bezdomni!... odpowiada echem step.

Dokąd dążą?...

— Do wolności!... do niepodległej Polski!... płynnie szeptem odgłos od burzanów.

Kto ich przysłał?...

— Wola niezłomna ich Wodza - Komendanta... więźnia z Magdeburga!... szemrzą rozlewne wody Dniepru, Ingulca, Bohu i Rosi.

Czego chcą?...

— Zniszczenia ich śmiertelnego, odwiecznego wroga-germana, co po raz czwarty rozszarpał im Ojczyznę... kwilą czajki naddnieprzańskie.

Kto im rozkazuje?...

— Tajemniczy „Rząd podziemny“ i tajemnicza Komenda Naczelna P. O. W. na Wschodzie!... wyszumiają stepowe wichry.

Od porucznika legionisty Świszka-Miedzińskiego, naczelnego komendanta P. O. W. w Kijowie idą do zakonspirowanych komend w Żytomierzu, Humaniu, Berdyczowie, Skwirze, Białej Cerkwi polecenia:

— Niszczyć wszystko co niemieckie, utrudniać Niemcom pobyt i życie na Ukrainie...

Rozkaz!... trzeba go wypełnić... obowiązuje tych co samotni pomykają drogami i ścieżkami ukraińskimi.

Przepiękny, wczesny ranek dnia 27 maja 1918 r.

Wzdłuż toru kolejowego Fasków-Biała Cerkiew zdążają ku Ustinówce dwaj młodzi ludzie. Krok u nich żołnierski, oko baczne na wszystko. Minęli małą stacyjkę bokiem. W pustym polu wyciągają coś z ząnadrza. Kilka zwrotów głową na wszystkie strony... skok na tor... potem „padnij“ przy szynach... kilka minut „majstrowania“ przez jednego... kilka minut obserwowania okolicy przez drugiego. Zerwali się... pobiegli dalej... znów „padnij“... chwila „majsterki“... później „powstań“... skok z nasypu... i przepadli w burzanach stepu.

Nieodeszli daleko... przywarowali o setkę metrów.

Jeden z nich szepta:

— Psiakrew!... myślałem, że to trudniej... szkoda gadać!... zwał się jak snopy, razem ze zbożem...

Drugi mruczy:

— Głupiś jak dekiel od fajki... nie zwał się... trza było pypciu jeszcze dwie wykręcić...

Pierwszy przegiął się ku towarzyszowi i wyszeptał:

— Barani ogonie... koci łbie... stuł pysk... już dudni... wywał gały... a potem fuga matus.

Zadudniało, zahuczało, zazgrzytało. Przerażliwie z wentylów poszła para... a potem łomot przeokropny, kilkanaście wykrzykników trwoźnych „o Herr Je!...” Parówóz stanął na przednich kołach, brankard z drzewem hybnał się na prawo... kilkadziesiąt wagonów zważyło się na kupę... straszliwy trzask... i cisza.

Jeden z dwójki leżącej w burzanach zakonkludował:

— Gotowe!... cholerskie germańce nie zeżrą cudzego zboża!... dymajmy!...

Zerwali się... i chyłkiem pobiegli w stronę Hrebenki.

Kto oni?...

— Legioniści z II. Brygady!... szepczą oczerety.

Pochmurny wieczór dnia 7 czerwca 1918 r.

Ulicą wiodącą do dworca kolejowego w Białej Cerkwi pomykają dwaj mężczyźni. Jeden krępy, grubawy, drugi chudy. Przeszli koło niemieckiej komendatury, spojrzeli „wilkiem” na posterunek, coś poszeptali... i poszli dalej. Za dobre pół godziny zjawili się w pobliżu garażów niemieckich, w których stało 10 samochodów.

Garażów pilnują warty niemieckie.

Krępy, grubawy mężczyzna wyjmuje coś z kieszeni... długo się namyśla... długo coś wypatruje z ukrycia... na coś czeka... czegoś szuka wzrokiem.

Widocznie znalazł, bo zrywa się i biegnie pod ścianę garażu. Już dopadł... schylił się, czy przyklęknął... coś wetknął pod ścianę... zerwał się i biegnie zpowrotem do kryjówek.

Za małą chwilkę rozbłysły płomienie. Poderwał je wicher, przerzucił dalej. Objęły momentalnie cały

garaż, dostały się do benzyny i buchnęły potężnym słupem ognia i czarnego dymu w przestworza.

Daremny wysiłek niemieckich wart... garaż spłonął doszczętnie... i 10 samochodów.

Do miasta wraca „dwójka“ żołnierzy II. Korpusu, sprawców pożaru.

Jeden z nich zwie się Janek Strzelec — drugi ponoć Karol Sadowski.

— — — — —

W sierpniu 1918 r. rozwożą tajni kurjerzy po wszystkich placówkach P. O. W-iackich rozkaz Naczelnej Komendy № 3 w Kijowie, w którym kapitan-legjonista Lis-Kula jako naczelny komendant, poleca wszcząć akcję niewypuszczania armji niemieckiej z Ukrainy, przeznaczoną do wzmocnienia frontu francuskiego.

Co czynić?...

— Zrywać mosty, wywoływać ruchawki chłopskie, wysadzać prochownie i magazyny, powodować wykolejenia i katastrofy pociągów, — jednym słowem zastraszyć i o ile możliwości postrachem steroryzować Niemców i unieruchomić ich armję na Ukrainie.

Szałeńczy rozkaz... wprost niewykonalny... a przecież trzeba go wypełnić.

— — — — —

Upalny dzień, zdaje się 14 sierpnia 1918 r.

W Kijowie w dzielnicy „Peczersk“ stoją magazyny amunicyjne, strzeżone pilnie przez posterunki niemieckie.

Ktoby z cywilów chciał się do obiektów strzeżonych zbliżyć, niechybnie zginie od kuli germańskich wart.

A przecież w Kijowie jest główna kwatera sztabu niemieckiej armji okupacyjnej, — jest siedziba generał-gubernatora niemieckiego. Trzeba na to germańskie gniazdo rzucić widmo strachu.

Magazyny amunicyjne muszą „wylecieć” w powietrze.

Kręcą się koło nich kilka dni z rzędu nieznani ludzie... ludzie młodzi o twarzach ogorzałych, pełnych energii i zdecydowania. Podglądają... wypatrują... śledzą całymi godzinami... odchodzą i przychodzą... zjawiają się to tu, to tam. .

Mają miny zwykłych gapiów ulicznych, czasem ruchy „zawianych krzyne” samogonką, to znów miny żebraków lub fantazję wolnych kozaków.

Długo śledzili... nieraz całymi godzinami.

I właśnie w upalny dzień, jeden z tych ludzi oznajmił innym krótko i dobitnie:

— Gotowe!... wiać co żywo!...

Rozlega się straszliwie potworny wybuch, po nim drugi, czwarty... pod stropy niebios biją kłęby czarnego dymu... lecą na setki metrów w górę skrzynie z amunicją i tam pękają.. grzmot za grzmotem targa powietrzem... morze płomieni szaleje nad „Peczerskiem”... straszliwy pęd powietrza zwała ludzi z nóg, idących odległymi nawet ulicami... w całym Kijowie, na najdalszych jego periferiach słysząc niesamowity trzask i dźwięk pękających i wylatujących szyb z okien i wystaw sklepowych... słowem przeokropne piekło.

Niemieckie składy amunicyjne przestały istnieć... ich warta wyginęła do nogi, nawet śladu po niej nie pozostało... W niemieckim generał-gubernatorstwie strach nieopisany... w kwaterze sztabu panika...

Pada trwożliwe pytanie:

— Kto to zrobił, czyje to dzieło?...

Wybuchy odpowiadają echem:

Legioniści!... żołnierze II. Korpusu!... kolejarze!...
P. O. W-iacy!...

— — — — —

Ranek mglisty dnia 2 września 1918 r.

W jarze nad rzeką, przez który wije się droga z Olszanki do Orłowej, w nabrzeżnych oczeretach, tuż

przy torze kolejowym Śmiła-Fastów i Fastów-Krystynówka, leży dwóch „żebraków” w średnim wieku. Leżą na prawym brzegu rzeki, która w tym miejscu dość dużym zakosem zwraca się ku północy w stronę Horodyszcz. Za wzniesieniem naprzeciw widnieje stacja kolejowa Cwietskowo, skąd tory kolejowe rozchodzą się w trzech kierunkach. Po prawej ręce leżących, w odległości około 400 metrów widać wysoki nasyp kolejowy i most na rzece. Obok mostu stoi budka warty niemieckiej, składającej się z czterech żołnierzy. Dwóch z nich uzbrojonych przechadza się koło budki, obserwując most.

Jeden z „żebraków” leżących w oczeretach mówi półgłosem do drugiego:

— Ciężka sprawa... te buldogi nie dadzą się podejść... jedenaście godzin już sterczymy... niech to jasny gwint... nadaremno taszczyliśmy ten „leberwurst”...

Po chwili drugi „żebrak” szeptem ciągnie:

— Kaziul... nie żołądkuj się!... Mam dwudziestą „kierenkę” tu w tej „karmani”... pójdę do „hutora” po kupie chleba, podjemy „niemnożko”... potem pośpiemy... a wieczór „uwidim”...

Rzekłszy to wstał, otrzepał się z piasku i poszedł.

Wrócił za godzinę, przyniósł pół bochenka chleba. Spalaszowali na spółkę a popiwszy wodą, czerpaną rękami, położyli się spać.

Zbudził ich przejeżdżający pociąg.

Doczekali się zmroku, ruszyli ku mostowi.

Warty niemieckie uspokojone przejazdem pociągu podeszły do budki, usiadły na zaimprovizowanej z darni ławce.

Za chwilę błysnął mały ogień. Snać zapalili cygara lub fajki.

W tej chwili jeden z żebraków wyszeptał:

— Stachu do roboty!... pod samym szczytem... tuż pod trawersem... „Padnij” i marsz na brzuch!...

Stach poszedł!...

Jeden z niemieckich żołnierzy, zaczął nucić sobie jakąś piosenkę.

Po upływie pół godziny wrócił Stach i rzekł ostrym szeptem:

— Gotowe Kaziu na cię kolej!... nie zamocz sznurka, bo rosa!...

Kaziu poszedł, mając obwiniętą koło szyji dość długą grubą kicę... dynamitu. Sznurek-lont zwinięty na kawałku kija, schował do kieszeni rubaszki.

Pełzał dość długo... trafił prosto na wygrzebany rękami kolegi w piachu dołek... odwinął ze szyi kicę... wsadził ją na stojaka w dziurę, opierając jednym bokiem o mur oporowy mostu. Potem przysypał piachem, ubił rękami. Następnie wyciągnął sznurek-lont, wpuścił go w „rurkę” i zagłębił w kiszkę, przewijając mocno. Dosypał jeszcze piachu w lejek koło „rurki”, ubił rękami... i zaczął cofać się w pozycji pełzającej, rozwijając równocześnie sznurek.

Mignęła iskierka z papierowej wiatrowej zapal-ki... przeskoczyła na sznurek-lont i zaczęła ruchem węzowym tańczyć po nim.

„Żebrak” nazwany Kaziem już nie marszem na brzuchu, lecz na nogach puścił się biegiem na ukos.

Dopał do kolegi i zaledwie zdołał przemówić słowo, gdy powietrzem targnął silny wybuch, po którym spadł na zebraków deszcz piachu.

Most pod Cwietkowem zerwany.

Ci zaś co go tak zgrabnie w oczach Niemców „zoperowali” poszli stepem na Tarasówkę.

Byli to porucznik Kazimierz Januszewski z II. Brygady i porucznik Żubr z II. Korpusu (pseudonimy).

W krótkim czasie wyleciało w powietrze około 30 mostów kolejowych na obszarze Ukrainy, — kilka magazynów amunicyjnych wysadzonych, — kilkanaście magazynów spalonych.

P. O. W.

L. M. 3 a. d.

79

Karta służbowa

Imię i nazwisko: Jan Hroblec

Lat. 30

Rodow. broni: ułan 10 klasy awaryj. / wojenne męz. i 2 klasy H.P.
Kuch. w form. przed front. H. H. H.

Praca

Przebieg choroby: przewlekła febrila wydal. -



Podpis. Letyc

Mobilizacyjna „Karta służbowa” P. O. W. w Białej Cerkwi, wystawiona własnoręcznie przez Kazimierza Januszewskiego (autora) przeprowadzającego mobilizację w rejonie Biała Cerkiew, z podpisem komendanta „Letyra” (dr. Stanisława Rytla).

Cała niemiecka armja okupacyjna sparaliżowana w ruchu, — unieruchomiona, — wystraszona, — steryzowana, — nie odeszła na front francuski.

Rozkaz Lisa-Kuli spełniony... zadanie wykonane.

Dnia 6-go listopada 1918 r.

Drogami, ścieżkami, pociągami we wszystkich kierunkach od strony Kijowa spieszą kurjerzy. Roznoszą rozkazy Naczelnej Komendy P. O. W. Nr. 3.

Tajna mobilizacja wszystkich P. O. W-iaków.

Trzeba zasilić szeregi wojska polskiego ludźmi pewnymi... trzeba spieszyć na pomoc obrońcom Lwowa...

Rozkaz brzmi:

— Akcją kierują instruktorzy okręgowi... wysłać ludzi grupkami po kilku... każdego zaopatrzyć w „kartę służbową”... punkty zborne lasy około Radziwiłłowa, Brodów, Równego, Włodzimierza Wołyńskiego.

Z rejonów Kijowa, Berdyczowa, Żytomierza, Białej Cerkwi, Jekaterynosławia i innych spieszą dniem i nocą kupki P. O. W-iaków na wyznaczone miejsca.

W lasach pod Brodami znalazło się paraset chłopa... przywodzą im leguny z Lisem-Kulą na czele.

Pod Włodzimierzem zebrało się sporo ludu P. O. W-iackiego.

Oddział pod Brodami ma uderzyć na miasto, by odciążyć Lwów. W walce z Ukraińcami został rozbity... Lis-Kula ranny, dostaje się do niewoli.

Oddział pod Włodzimierzem szczęśliwszy. Zajmuje miasto, a uzupełniony rozbitkami z pod Brodów i Żytomierzanami, przemienia się w sławny Włodzimierski Bataljon Szturmowy, wstrzymujący przez trzy miesiące nawałę Ukraińców, — atakującą od wschodu,

Odradzającą się Polskę.

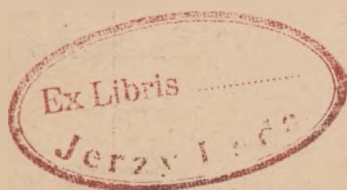
SPIS RZECZY:

I. W przeddzień czynu Rarańczy . . .	str. 11
II. Bitwa pod Rarańczą . . .	„ 23
III. Praojców szlakiem . . .	„ 43
IV. Wyprawa do Chocimia . . .	„ 53
V. Dalszy marsz praojców szlakiem . . .	„ 61
VI. Przed orężną rozprawą z Niemcami . . .	„ 87
VII. Bój pod Kaniowem . . .	„ 93
VIII. Na ścieżkach tułaczyc (Fragmenty) . . .	„ 105
IX. W podziemiach Ukrainy (Fragmenty) . . .	„ 117



350380

81, 81



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314422



000-314422-00-0